DWIE SIEROTY

DRAMAT W 5-CIU AKTACH
A 8-MIU OBRAZACH

przez

A. D'Enneryat Cornion

("DWIE SIEROTY" były grane z wielkiem powodzeniem w teatrach amerykańskich, angielskich, francuskich, niemieckich, i t. d.)

W. H. SAJEWSKI
1017 Milwaukee Ave.
NAKŁADEM H. W. SAJEWSKIEGO
Drukiem "Polonia Press" 1309-15 N. Ashland Ave.
CHICAGO, ILL.
1922

DWIE SIEROTY

DRAMAT W 5-CIU AKTACH
A 8-MIU OBRAZACH

przez

A. D'Enneryat Cornion

("DWIE SIEROTY" były grane z wielkiem powodzeniem w teatrach amerykańskich, angielskich, francuskich, niemieckich, i t. d.)

NAKŁADEM H. W. SAJEWSKIEGO
Druklem "Polonia Press" 1309-15 N. Ashland Ave.
CHICAGO, ILL.
1922

OSOBY:

Hrabia de Lenieres.
Kawaler de Vandrey.
Jakób.
Margrabia de Presles.
De Mailly.
D'Estres.
Picard.
Doktór.
Martin.
Lafleur.
Człowiek 1-szy z ludu.
Człowiek 2-gi z ludu.
Sierżant.
Hrabina de Lenieres.
Henryka.
Ludwika.
Marja.
Wdowa Frochard.
Siostra Genowefa.
Floreta.
Piotr.
Lulja.
Marest, urzędnik policji.
Komisjoner.
Służący hr. Lenieres.
Kramarz.
Konduktor.
Woźnica.
Tandeciarz.
Przekupień.
Kiełbaśnik.

Rzecz dzieje się w Paryżu i jego okolicy.

AKT PIERWSZY.

Wejście na most Pont-neuf od strony ulicy Dauphine, po prawej wybrzeże Augustynów, po lewej restauracja tworząca róg wybrzeża Conti. Kilka drzew osłania stoły. W głębi baraki najęte przez kupców, w oddali widok Paryża, prawy brzeg Sekwany, oświetlony pięknym zachodem słońca.

SCENA PIERWSZA.

Mieszczanie. — Lud. — Panowie. — Kupcy. — Żebracy. — Goście pijący siedzą przy drzwiach restauracji, potem wdowa Frochard. (Obraz bardzo ożywiony — ruch ludzi ogromny. Śpiewak na wzniesieniu otoczony ludem kobietami, dziećmi, kończy piosenkę, tłum objawia zadowolenie oklaskami, krzyki rozmaite).

Stare suknie do sprzedania! Kasztany świeżo upieczone! Kiełbaski gorące!

Frochard (zatrzymuje przechodzących, głosem płaczliwym). Litości dobrzy ludzie! nie zapominajcie o nieszczęśliwej kalece, która siedmioro dzieci karmić musi. (Mała dziewczyna, którą prowadzi matka, daje jej jałmużnę). Dziękuję ci mój aniołeczku kochany! Niech cię za to Bóg błogosławi! Amen!

SCENA DRUGA.

Marirabia Lafleur w ubiorze stareno mieszczanina, potem de Mailly i d'Estres.

Margrabia. Wszak to tutaj miałem zastać Lafleura?

Frochard. Litości łaskawy panie!

Margrabia. Idź do djabła!

Frochard. Niech ci to Bóg odpłaci miły panie! (wychodzi).

Margrabia (ogląda się w około, patrzy na grupy przechodzące). Nie widzę go... Czyby śmiał może dać mi na siebie czekać?

Lafleur (zbliża się nagle z ukłonem). Jestem na usługi pana Margrabiego.

Margrabia. A do djabła! byłbym cię nie poznał, w tem ubraniu wyglądasz na porządnego człowieka. Słuchaj, dziś chodzi o to, abyś pokazał, do czego jesteś zdolnym.

Lafleur. Pan Margrabia wie o tym, że ja jestem zdolnym do wszystkiego. Co się zaś tyczy owego jegomości, który ma czekać na owe małe podróżne, nie dostrzegłem nikogo podobnego, ale czuwam, a gdy się do nich zbliży, źle z nim będzie. (De Mailly i d'Estres, którzy pojawili się w głębi podczas ostatnich słów, zatrzymują się spostrzegłszy Margrabiego).

De Mailly. De Presles!

D'Estres. Rzeczywiście, to on!

De Mailly (zbliża się). De Presles tutaj?

Margrabia (obraca się). A dobry dzień panom! co za szczęśliwe spotkanie! Ale co panów tutaj sprowadza?

De Mailly. Powracamy z ostryg! Ale ty, mój drogi, sądziłem, że jesteś stąd daleko i polujesz na jelenie i na spadek po starej ciotce.

Margrabia. Nie upolowałem ani jednego ani drugiego.

De Mailly. Czy podobna?

Margrabia. Jelenie nadto szybko uciekały a spadek nadto powolnie się zbliżał.

D'Estres. Ale jakimże przypadkiem spotykamy się na tym placu?

Margrabia. Bo tutaj zjeżdża powóz z Marsylji a w tym powozie znajduje się...

D'Estres. Jakaś piękna podróżna?

Margrabia. Nie inaczej, młoda dziewczyna przecudna... Normandka... anioł pełen wdzięków i piękności! Widziałem ją zaledwie kilka minut w jej skromnym stroju wiejskim, i zakochałem się do szaleństwa.

D'Estres. A!

De Mailly. Opowiedzże nam szczegóły.

Margrabia. Wiecie moi drodzy, że wyjechałem w skutek wieści o blizkim zgonie biednej mojej ciotki. W zamku przodków moich nudziłem się śmiertelnie, to prawdziwe więzienie w pośród lasów, gdzie jedynym moim towarzystwem był wójt, a jedyną rozrywką bezik lub wist, mniejsza o to, oczekiwałem cierpliwie końca tej okrutnej choroby. Nareszcie nadszedł ów koniec, a ciotka wyzdrowiała najzupełniej.

Obaj (zdziwieni). A!

Margrabia. O! nie, nie mam do niej naj-

mniejszego żalu, poczciwa kobieta, robiła co mogła, zamiast jednego lekarza, wezwała trzech, nie mam jej nic do wyrzucenia.

De Mailly. Zapewne.

D'Estres. Po wyzdrowieniu zatym ciotki...

Margrabia. Wsiadłem do powozu pocztowego i odjechałem.

De Mailly. Bardzo dobrze. Ale owa piękna Normandka?

Margrabia. Było to w okolicy, rzuciłem kilka talarów pocztyljonowi, aby wyjechał galopem pod dość przykrą górę, lecz on przeciwnie zmuszonym był zwolnić biegu, bo przed nami jechał ciężki powóz, który nie chciał ustąpić z drogi. Wyskakuję z gniewem, i już miałem podnieść szpicrutę na woźnicę, gdym ujrzał w oknie powozu prześliczną blondynkę, z cudnymi oczyma, i boskim uśmiechem.

D'Esters. I naturalnie nie starałeś się już wyminąć?

Margrabia. Przeciwnie, jechałem za nimi, a ja na pierwszej stacji, gdy konie zmieniano, ujrzałem znowu moje cudne zjawisko w chwili, gdy chciała wysiąść, dla odetchnienia świeżym powietrzem. Przeskakuję, podaję rękę i otrzymuję bardzo uprzejme podziękowanie, dla zbadania terenu rzuciłem kilka żarcików, obawiałem się czy nie na jaką gąskę, lecz nie, znalazłem w niej bardzo miłą i młodą dziewczynę, która mi odpowiadała z rzadką naturalnością, swobodą i dowcipem. Dowiedziałem się, że jedzie ze swoją

siostrą do Paryża, że nie zna tam nikogo, i że jakiś stary jegomość, któremu ją polecono, oczekuje jej przybycia.

D'Esters. Teraz rozumiem, dla czego zastajemy cię tutaj.

De Mailly. Ale cóż będzie dalej?

Margrabia. Co dalej? Przyjdźcie do mojego mieszkania w Bela, zastaniecie tam wesołych towarzyszy do kart, kilka tancerek, i kolacją, która mam nadzieję, będzie godną takich gości. Z kieliszkiem w ręku opowiem wam koniec mojego romansu, jeżeli ma nastąpić jaki koniec.

D'Estres. Zgoda.

De Mailly. Życzę ci szczęścia do widzenia dziś wieczór.

Margrabia. Do widzenia. (Lafleur staje w głębi).

Lafleur. (cicho do Margrabiego wskazując mu starego jegomościa, który wszedł przed chwilą i zatrzymywał się przed restauracją). Zdaje mi się, że to nasz Jegomość!

Margrabia. Musimy się go pozbyć za jakąkolwiek cenę.

Lafleur. To moja rzecz. (Margrabia wychodzi wraz z przyjaciółmi).

SCENA TRZECIA.

Martin. (patrząc na zegarek). Szósta godzina; bardzo wcześnie przybyłem.

Lafleur (zbliża się do niego). Pan zapewne jak ja, oczekujesz przybycia powozu z Marsylji.

Martin. Tak Panie, oczekuję przybycia dwóch młodych dziewczynek, dwóch sierót, których wcale nie znam.

Lafleur. Jakto?

Martin. Zostały nam polecone przez brata mojej żony, który nas prosił, abyśmy się nimi opiekowali.

Lafleur. Będzie to bardzo bezpieczne schronienie dla tych sierót.

Martin. A dla nas będzie to bardzo miłą rozrywką, szczególniej dla mnie, który żyję ze skromnych dochodów moich na trzecim piętrze przy ulicy Grenel.

Lafleur. To wcale nie wesoło.

Martin. Sam na sam z żoną.

Lafleur. To smutno. Otóż panie łaskawy dość długo jeszcze będziemy czekali, bo powóz przyjdzie dopiero o ósmej zamiast o szóstej.

Martin. Tak Pan myśli.

Lafleur. Dowiedziałem się o tym przed chwilą w biurze. Pewien pan, który przyjechał pocztą przywiózł wieść, że oś złamała się u powozu, wskutek czego nastąpi opóźnienie o dwie godziny.

Martin. A to fatalnie! co tu robić przez dwie godziny?

Lafleur. Lubi pan pikieta?

Martin. Namiętnie! Ale moja żona go nie cierpi — natomiast nienawidzę triktraka, a gram go już 25 lat i sześć miesięcy, bo moja żona lubi go namiętnie.

Lafleur. Możebyśmy więc weszli na partyjkę dla skrócenia czasu.

Martin. Bardzo chętnie, ale obawiam się, że gdy oddalimy...

Lafleur. Garson zawiadomi nas, skoro powóz przyjedzie.

Martin. To dobrze, to dobrze... bo nie chciałbym...

Lefleur. Spuść się pan na mnie, przecież i ja nie myślę spóźnić się w podróży.

Martin (śmiejąc się). Pan jak widzę jesteś wesołego humoru, ja to bardzo lubię, bo moja żona nie jest wcale wesołą.

Lafleur. Doprawdy?

Martin. Nieoceniona kobieta, ale bardzo nudna (Lafleur bierze go pod rękę, aby go wyprowadzić).

Frochard (zastępując im drogę) Łaskawi panowie! nie zapominajcie!

Lafleur. Nie daję nigdy jałmużny starym.

Frochard. Naturalnie jak młode lata miną, trudno na chleb zarobić, muszę się starać o inny sposób.

SCENA CZWARTA.

Frochard — Piotr.

Piotr (wchodzi z głębi). Noże! nożyczki! scyzoryki! do ostrzenia! noże! scyzoryki! brzytwy!

Frochard. Piotr! ty tutaj?

Piotr. A to wy matko?

Frochard. Ja, ty próżniaku!

Piotr. Próżniak? nie matko, ja pracuję jak mogę.

Frochard. Pracujesz! otóż to właśnie mam do zarzucenia! to marna praca. Dobry Bóg dał nam wygodne kalectwo! I zamiast korzystać z tej łaski ludzie pracują, mogąc tylko wyciągnąć rękę, i zarobić o wiele więcej.

Piotr. Nie miejcie mi to za złe matko, ja nie mogę.

Frochard. Jakto nie możesz?

Piotr. Gdym był malcem braliście mnie ze sobą, powtarzałem nie rozumiejąc, prośby których mnie nauczyliście matko, ale nigdy ręki nie wyciągałem, wy sami braliście jałmużnę. Później rzekliście do mnie: jesteś już dość słuszny, idź żebrać na własną rękę, ja też poszedłem. Byłem sam, wyszedłem pierwszy raz i nie wiedziałem co począć. Przyszedłem na ten plac gdzieśmy dawniej każdego dnia przychodzili, ukląkłem i chciałem spróbować, ale słowa, które ja wówczas zrozumiałem, nie chciały mi się przez usta przecisnąć, a gdy przyszło wyciągnąć rękę tak jak wy to matko robicie, uczułem w sobie boleść i gniew (wyciąga rękę). O tak matko, ten ruch sprawia mi boleść aż do głębi serca, gdy tak trzymam rękę otwartą i czuję w niej pieniądze, to zdaje mi się, że ogromny ciężar na mnie włożono, (ręka opada) i nie wiem dla czego łzy pomimowoli

cisną mi się do ócz. Nie matko, ja nie mogę, nie mogę!

Frochard. Chłopcze bez serca, wolisz zostawić matkę w nędzy?

Piotr. Dla czego w nędzy? Wszak mówicie matko, że jałmużna dużo przynosi, a ponieważ macie odwagę żebrać, więc...

Frochard. Ja nie tylko dla siebie muszę zarabiać...

Piotr. Prawda, mój brat Jakób! ależ on nie jest ani kaleką, ani słabym a wy go żywicie.

Frochard. Dla niego chciałabym sobie znaleźć lepszy zarobek. Mój Jakóbek taki ładny!. żywy portret swojego ojca, biednego męża mojego, którego zabili ci nędzni wykonawcy sprawiedliwości!

Piotr. Tak, skazali go za morderstwo!

Frochard. O ty go pewnie nie pomścisz! Mój Jakóbek to co innego! on nie ma tak miękkiego serca, — on się niczego nie boi.

Piotr. Nawet widoku krwi.

Frochard. Milcz! Słuchaj Piotrze, ty do niczego innego nie byłeś zdolnym tylko do tego, aby zostać uczciwym człowiekiem, a ja, ja nienawidzę tych nędzników, tych uczciwych! (przybierając płaczliwy głos, obraca się do przechodniów). Łaskawi państwo! zlitujcie się nad biedną kaleką! (zatrzymuje się i odbiera jałmużnę).

Piotr (patrząc za nią). Może ma słuszność, ja byłem zdatny tylko do uczciwego człowieka (smutno). Ale mnie tego nie nauczyli, te-

raz jedni mnie odtrącają, a z drugimi szczęśliwym być nie mogę. Jakież więc przeznaczenie moje na ziemi? (kręci swój kamień).

SCENA PIĄTA.

Piotr, Frochard, Jakób i jego towarzysze. (trzymają się pod ramię i śpiewają).

Jakób. A, otóż i matka i pokraka. Czy Marjanny tu nie było?

Frochard. Nie jeszcze, mój chłopcze.

Jakób. Wkrótce nadejdzie, poczekam. — Tymczasem wejdźcie tam bracia, zamówcie białego, czerwonego wina, koniaku! zresztą czego tylko chcecie, ja wszystko dziś płacę!

Frochard. Ty płacisz? czy znalazłeś jaki skarb?

Jakób. Nie ja, tylko Marjanna.

Frochard. Co to za skarb?

Jakób (cicho). Nie wiem, ale kazałem jej znaleźć i ona znalazła.

Frochard (z uniesieniem). Co to za miły chłopczyna!

Jakób. Poczciwe dzieci powinny zawsze zdać matce sprawę z tego, co wśród tygodnia zarobiły, — nieprawdaż matko?

Frochard. Tak mój aniołku, to pierwsza reguła.

Piotr. A zdawszy sprawę matce, ty wszystko sam zabierasz.

Jakób (silnie). No i cóż z tego?

Piotr. To niesłusznie... to...

Jakób (groźnie). No mów ty, ty kramarzu morałów, (pokazuje pięść) to też płacę taką monetą.

Piotr. Wiem o tem! ale czy masz ty serce bić mnie zawsze, będąc silniejszym odemnie?

Jakób. Głupcze! gdybym był słabszym od ciebie, ty biłbyś mnie.

Piotr. Nie, ja uważałbym to za podłość.

Jakób (wstrząsa nim). No, dość już tego! porachujmy się inaczej. Ile zarobiłeś?

Piotr (daje pieniądze matce). Dwa franki i siedem sous.

Jakób. Tyle wszystkiego? Głupiec! Cóżeś ty robił przez cały tydzień wszystkimi twoimi pięcioma zmysłami?

Piotr. Chodziłem po ulicach od rana do nocy, kręciłem korbą skoro znalazła się robota, nie jadłem nic innego tylko suchy chleb, a nie piłem nic prócz wody. więcej nic zrobić nie mogłem.

Jakób. Złe twoje rzemiosło, muszę cię nauczyć innego.

Piotr (przerażony). Innego?... Ty!... o nie, ja nie chcę!

Frochard. Ja oszczędziłam dla ciebie 3 franki i 18 sous, masz je wraz z pieniędzmi Piotra.

Jakób. Pieniędzy mam dosyć, ale biorę z zasady, i zapraszam was oboje do restauracji.

Piotr. Dziękuję, mam skończyć i oddać pilną robotę, a od trunków boli mnie głowa

Jakób. Prawda! Wiesz ty pokrako, ty czasem budzisz we mnie litość, wreszcie to nie twoja wina żeś słaby, krzywy, że kieliszek wina zawraca ci głowę, a ładna dziewczyna napawa cię trwogą. Ale ja nie jestem temu winien żem zdrów i silny, że lubię rozrywki, karty, wino, i piękne kobiety! Twoim życiem praca, ona ciebie bawi, ja pracuję chyba wtedy gdy już nic innego nie mam do czynienia, i to mnie nudzi.

Piotr. To prawda, że jako bracia, nie jesteśmy wcale do siebie podobni.

Jakób. W twoich żyłach płynie krew jagnięcia, a w moich krew ojca mojego. Od 150-ciu lat wszyscy Frochardowie, z wyjątkiem ciebie poczwaro, są jednakowi. Gdy djabeł rozsiewał bandytów po ziemi, jego wór musiał pęknąć u nas.

Frochard. To mi chłopiec! Ubóstwiam cię mój chłopcze, jak ubóstwiałam twojego ojca, który był wprawdzie skończonym bandytą, ale za to bardzo lubym człowiekiem.

Jakób (bierze matkę za rękę). Kto mnie kocha, pójdzie zemną, muszę się pokrzepić! Chodźmy matko!

Piotr. A! oto nadjeżdża powóz z Marsylji. Odniosę moją robotę i zobaczę czy nie da się co zarobić. (Jakób i matka wchodzą do restauracji, a Piotr do sąsiedniego sklepu).

SCENA SZÓSTA.

(Zajeżdża ciężki powóz w rodzaju kabrietu, na przodzie i w środku siedzą pasażerowie, pakunki z tyłu i na powozie widać kufry, materace, kojce z kurczętami i t. p. Skoro się powóz zatrzymał otaczają go komisjonarze, zebrani krewni i przyjaciele przyjezdnych oczekujący nań. Wszyscy mówią i krzyczą równocześnie). Margrabia stoi w głębi i przypatruje się. Lafleur staje we drzwiach restauracji.

Komisjoner. Odnieść pakunki? zamówić dorożkę?

Żebracy. Łaskawi panowie! litościwe panie! zmiłujcie się nad kalekami!

Konduktor. Precz! Dajcie wysiąść podróżnym! (podróżni wysiadają, — stary jegomość ze starą damą, których oczekiwali młodzi ludzie, — witają się z nimi).

Margrabia (zbliża się do Lafreura, — cicho). I cóż nasz jegomość?

Lafleur. Leży pod stołem po dwóch kieliszkach. Postąpiłem z nim przezornie, i tak samo w razie potrzeby postąpię z dziewczyną.

Margrabia. Wybornie! patrz, to ona! ta większa (odchodzi).

Lafleur. Śliczna! idę po moich ludzi.

Henryka (wysiada i zwraca się do Ludwiki ukazującej się w drzwiczkach powozu). Pójdź Ludwiko, pójdź.

Konduktor (do Henryki). Czy panie będą potrzebowały dorożki?

Henryka. Oto tu przy tej restauracji mamy zastać pewną osobę, która na nas czeka. (Podróżni rozchodzą się stopniowo podczas początku następującej sceny).

SCENA SIÓDMA.

Henryka — Ludwika.

Henryka (prowadzi Ludwikę). Jest tu krzesło, Ludwiko usiądź.

Ludwika (siada). Dziwi mnie, że pan Martin nie czekał tutaj, aby nas przyjąć.

Henryka. Bądź spokojną, on przybędzie niezawodnie. O, jakiż ten Paryż piękny i ogromny! Szkoda że ty biedna siostro moja nie możesz widzieć tych wszystkich piękności.

Ludwika. Opowiadaj mi co widzisz, a naprzód gdzie jesteśmy?

Henryka. Obok pięknego mostu, Pont-neuf.

Ludwika. Ojciec opowiadał mi o nim często. Mieszkał niedaleko od mostu wraz z matką, nim się wyprowadził do Marsylji.

Henryka. Po tej stronie widać dwie czarne wieże, — są to zapewne wieże kościoła Notre Dame.

Ludwika. Notre Dame! Tam złożona była moja kołyska, i tam znalazłam opiekę tego, który mnie przyjął za drugą córkę. Gdyby nie on, byłabym zaraz prawie po przyjściu

na świat umarła z głodu i zimna... i może lepiej byłoby się stało.

Henryka. Co mówisz?

Ludwika. Byłabym nie ociemniała i nie stała się powodem smutku i boleści dla tych co mnie otaczają.

Henryka. Nie mów tak Ludwiko! czy nie wiesz jak cię moi rodzice kochali, byłaś dla nich pociechą, ich szczęściem aż do owej fatalnej chwili, w której biedne oczy twoje zagasły.

Ludwika. Nieszczęście to było zwiastunem jeszcze większego, zostaliśmy sierotami!

Henryka. Sprzedałam wszystko, cośmy miały, ażeby się dostać do Paryża, tu są znakomici lekarze, oni powrócą pięknym oczkom mojej Ludwiki blask ich dawniejszy.

Ludwika. Dałby Bóg, aby ta nadzieja nie zawiodła, ale pana Martin nie widać jeszcze.

Henryka. Może czeka na nas w biurze? Zaraz zobaczę. (Słychać głosy w restauracji Jakóba i jego towarzyszy, — śmiechy i śpiewy).

SCENA ÓSMA.

Też i Marja.

Marja (wchodzi z głębi chwiejąca się, blada, zatrzymuje się przed restauracją, zmrok zapada stopniowo). To jego głos! śpiewacy nieszczęśliwi! pij! zapomnij! o tej której rozdarłeś serce, i która — by ujść przed to-

bą, jedną ma tylko drogę, śmierć! rzeka blisko... wkrótce wszystko się skończy. Oby ostatni krzyk rozpaczy doszedł uszów twoich jako przekleństwo! Jeszcze nadto jasno mógłby kto zobaczyć, wyratować, — a ja nie chcę być wyratowaną. Czekajmy (siada na ławce).

Henryka. W biurze nie był.

Ludwika (do Henryki). Nie widać go nigdzie?

Henryka (rozgląda się wokoło w głębi, trochę niespokojna). Nie, ale jest tu jakaś kobieta tak blada i nieszczęśliwie wyglądająca, że aż patrzeć przykro.

Ludwika. Może by jej w czym dopomódz, — spytaj się Henryko, idź, idź, moja siostro.

Henryka (zbliża się do niej). Czy nie potrzebujesz jakiej pomocy?

Marja. Nie.

Henryka. Zdajesz się być nadzwyczajnie znużoną (Marja milczy). Pani cierpisz?

Marja. Tak... tak... cierpię.

Henryka. Może potrzebujesz czego?

Marja. Ja niczego już nie potrzebuję.

Ludwika (na stronie). Jakim to ona tonem powiedziała, w jej głowie jest coś złowrogiego.

Henryka. Zaufaj nam pani, nie jesteśmy bogate, ale pragniemy być pani pomocnemi.

Marja. Już pani powiedziałam, że nie potrzebuję niczego, bo są w życiu boleści, na które nie ma pociechy, — cierpienia... na które nie ma lekarstwa... bo na koniec...

Ludwika. Pani chcesz umrzeć.

Marja (zrywa się gwałtownie). Kto pani to powiedział?

Ludwika. Przeczuwałam to, słuchając słów pani. Ciemni słuchają duszą — sercem — a w moim sercu odbiło się boleśnie uczucie twojego.

Henryka (podtrzymując ją). Opowiedz nam pani swoje cierpienia, — może zdołamy przynieść ci ulgę.

Marja (wzruszona). Panie jesteście dobre, nie znacie mnie, nie widzieliście mnie nigdy, a litujecie się nademną. O, lepiej żebym nie była was spotkała, zostawcie mnie, nie odwracajcie od przepaści, która się dla mnie otwiera.

Henryka (zatrzymuje ją). Zostań pani.

Ludwika. Zostań.

Marja. Ależ panie nie wiecie, że sprawiedliwość śledzi mnie — mogą wpaść na mój ślad, a ja teraz nie będę miała siły uchodzić.

Henryka. Cóż pani złego uczyniłaś?

Marja. Ukradłam...

Henryka i Ludwika. Ah!

Marja. Pieniądze powierzone w zaufaniu, owoc tygodniowej pracy, wszystko co posiadała biedna szwaczka, ukradłam dla niego! dla nędznika, którego nienawidzę, i kocham! Czy słyszycie te krzyki, śpiewy i śmiechy szalone? On jest tam z towarzyszami rozpusty! Gdy jestem zdala od niego rozum powraca wstydzę się go, serce oburza się, a miłość

zmienia się w nienawiść! Przemówi do mnie słowo ja drżę cała, spojrzy na mnie a jam znowu jego niewolnicą! Dla niego ukradłam, i zdaje się gdyby rzekł "zabij" zabiłabym! Widzicie Panie, że lepiej, abym umarła!

Henryka. Błędu nie okupuje się zbrodnią.

Marja. Lecz jeśli mnie znajdą, wtrącą do więzienia.

Henryka. Lepiej przebyć karę kilkomiesięczną, aniżeli karę wieczną.

Ludwika. Gdy pani wyjdziesz z więzienia, dług sprawiedliwości ludzkiej będzie już spłacony.

Henryka. A gdy uczujesz żal to i Bóg przebaczy!

Marja. Bóg?... więc panie wierzą że jest Bóg?...

Henryka (silnie). Czy wierzymy?

Marja. Mnie mówiono zawsze, że Boga niema.

Ludwika. O nieszczęśliwa kobieto!

Henryka (wskazując rzekę). I oto patrz, dokąd cię doprowadzili ci co tak mówili!

Marja (z wahaniem). Może to prawda, co panie mówicie, może powinnam was słuchać.

Ludwika. O tak, trzeba nam wierzyć, odpokutować przeszłość, a wtedy błoga i spokojna przyszłość otworzy się przed nami.

Marja. Przyszłość? Czegóż mogę się spodziewać od przyszłości! Wypędzono mnie z pracowni, gdzież znajdę zatrudnienie? z czego żyć będę?

Henryka (wsuwając jej pieniądze w rękę). Weź to pani tymczasem.

Marja. Nie! nie!

Ludwika. Nie odmawiaj nam, prosimy!

Marja (z płaczem). O! panie macie słuszność, musi być Bóg, skoro znalazło się dwóch aniołów, którzy przybyli mi w pomoc! (bienze je za rękę i całuje).

Henryka. Odwagi!

Marja (łkając). O tak! z tem coście mi panie dały opuszczę Paryż, ucieknę od niego, od mojego złego ducha! będę się starała nie widzieć go już więcej! Czy będę miała dość siły nie wiem, ale to wiem, że pragnęłabym życie poświęcić dla was!

Jakób (staje w drzwiach restauracji).

Marja (na stronie).

SCENA DZIEWIĄTA.

Jakób potem **Policja.**

Marja. On! on! (zatrzymuje się).

Jakób. Marjo!

Ludwika (cicho). Co ona robi?

Henryka (cicho). Zatrzymuje się niestety!

Jakób. Dokąd tak spieszyłaś?

Marja. Uciekałam przed tobą, bo nie chcę cię już widzieć więcej!

Jakób. Jakto? doprawdy nie chcesz Marjo?

Marja (odwraca się od niego). Nie!

Jakób. A dla czegóż zatrzymałaś się na mo-

je skinienie?... dlaczego ręka twoja drży, gdy ciebie dotknę?

Marja. Nie, nie! potrafię się oprzeć! Wstydzę się mojego życia! brzydzę się nikczemnością, w którą mnie wtrąciłeś!

Jakób. Skruchą! wyrzuty! Schowaj to dla siebie i chodź za mną!

Marja (wyrywa mu rękę). Nie! Nie!

Jakób. Ja tak chcę! słyszysz?

Marja (waha się). O ja... ja!...

Jakób (z energją). Ja tak chcę, Marjo!

Marja (spogląda na Jakóba a potem na siostry). Ale ja niechcę, rzecz skończona! słuchać nie będę.

Jakób. Nie wierzę! Stanę na przeciw ciebie, popatrzę ci oko w oko, a będziesz mi posłuszną jak zawsze!

Marja. Nigdy!

Jakób. Chciałbym to widzieć!

Marja (ogląda się i spostrzega żołnierzy policyjnych). Zaraz zobaczysz (biegnie do sierżanta policji). Panie!

Sierżant. Czego pani chcesz?

Marja. Jestem złodziejką! aresztuj mnie pan!

Jakób. Co?

Sierżant. Ja mam panią aresztować? kto pani jesteś?

Marja. Jestem występną, której policja szuka, kryłam się, ale teraz żałuję mojego występku i oddaję się w ręce sprawiedliwości, aresztuj mnie pan!

Jakób (na stronie usuwając się). Czy ona oszalała?

Marja. Nazywam się Marja Vantiez.

Sierżant. Ponieważ pani się przyznajesz, więc chodźmy!

Marja. Chodźmy. (do Henryki). Kara się zaczyna! Proś pani Boga, abym wytrwała do końca! (wyprowadzają Marję, Marja przechodzi koło Jakóba). Powiedziałam ci, że się wyrwę z twoich szponów!

Jakób. Do więzienia! głupia dziewczyno!

Głosy (w restauracji). Jakóbie! Jakóbie!

Jakób (pomieszany). Idę, idę. (wchodzi do restauracji).

SCENA DZIESIĄTA.

Ludwika i Henryka później **Lafleur**.

Henryka. Przestraszyłaś się Ludwiko?

Ludwika. Okropnie.

Henryka. Ale noc się zbliża.

Ludwika. A pana Martiną jeszcze nie ma.

Lafleur (zbliża się). Przeciwnie jestem.

Ludwika. Nareszcie.

Henryka. Ach panie, czekałyśmy z taką niecierpliwością.

Lafleur. Przebaczcie panie, że się cokolwiek spóźniłem.

Ludwika. Zaczynałyśmy się obawiać.

Lafleur. Ja... ja mieszkam stąd bardzo daleko.

Ludwika. Mówiono nam przeciwnie, że pan mieszkasz stąd o dwa kroki.

Lafleur (na stronie). Fatalnie. (głośno). Rzeczywiście mieszkam... mieszkałem o dwa kroki, ale przeprowadziłem się... jedźmy, jedźmy moje panie... (chce wziąć Henrykę za rękę).

Henryka (wacha się). Pan... jesteś?...

Lafleur. Jeżeli panie powątpiewacie o mojej osobie to niechaj zaświadczą moi sąsiedzi, porządni obywatele tej dzielnicy, (oddala się i daje znak dwom ludziom, którzy się zjawiają).

Henryka (zwraca się ku niemu). Sąsiedzi?

Ludwika (wyciąga ku niej ręce). Henryko, nie odchodź odemnie.

Henryka. Jestem, jestem moja siostro, (chce zbliżyć się do Ludwiki, — na znak Lafleura dwaj ludzie zastępują jej drogę). Co to ma znaczyć? Moi panowie?

Lafleur. Nie traćmy czasu, powóz czeka o kilka kroków. Skończmy to i dalej w drogę.

Henryka. My z panem nie pojedziemy.

Lafleur. Bądź pani spokojna.

Ludwika. Nie, nie, (Henryka zwraca się i idzie ku Ludwice, lecz Lafleur bierze ją za rękę).

Henryka. Powtarzam, że z panem nie pojedziemy, (na znak Lafleura dwóch ludzi kneblują ją i porywają).

Lafleur (idzie ku głębi i patrzy czy kto nie nadchodzi). Wybornie, udało mi się.

SCENA JEDENASTA.

Ludwika potem **Frochard** i **Piotr**.

Ludwika. Nic nie słychać... Henryko co się stało z tym człowiekiem?... A ty gdzie jesteś?... dla czego mi nie odpowiadasz? (przerażona). Henryko, Henryko dla Boga odezwij się.

Henryka (w oddaleniu przytłumionym głosem). Ludwiko.

Ludwika (z wykrzykiem). A... słychać turkot powozu. Porwali ją, a mnie zostawili samą... samą. A mój Boże... co ja pocznę? Co się ze mną stanie? (płacze), (po chwili). Dokąd ja się mam udać teraz? co począć? w którą stronę się zwrócić? nie wiem... nie wiem... nie wiem... (idzie ku prawej stronie, chwiejąc się, — słychać turkot powozu). Powóz nadjeżdża. (powóz wjeżdża, i zatrzymuje się przed nią).

Woźnica. Han z drogi, han.

Ludwika (z krzykiem, waha się, i rzuca w prawo i lewo).

Woźnica (wstrzymał konie). Z drogi do djabła.

Ludwika (pada na kolana wyciąga ręce). Którędy, którędy na Boga, ja nie wiem, jestem ślepa.

Piotr (nadchodzi z prawej). Nieszczęśliwa kobieta, (przyskakuje podnosi ją i oddala od powozu).

Ludwika (drżąca). Ach Boże, mój Boże.

Frochard. Czy ona oszalała? Pani upadła?

Ludwika (chwyta Frochard rękami). O pani, nie opuszczaj mnie, nie opuszczaj.

Piotr. Uspokój się panienka, już nie ma żadnego niebezpieczeństwa.

Frochard. Co to? czy panienka dostała zawrotu głowy?

Ludwika. O tak, zdaje mi się, że mię zmysły opuszczają. Pani nie wiesz, moja siostra była przy mnie, i przed chwilą porwano ją.

Piotr. Porwano?

Frochard. Trzeba zawiadomić rodziców panienki.

Ludwika. Rodziców?... jesteśmy sierotami.

Piotr. Więc znajomych przyjaciół.

Ludwika. Przed chwilą przyjechałyśmy do Paryża i nie znamy nikogo.

Frochard. Nikogo?

Piotr. Nikogo? A cóż byli za ludzie co uprowadzili siostrę panienki? Czy jacy porządni?

Ludwika. Jakże mogę to wiedzieć?

Frochard. Można przecież poznać po sukniach.

Ludwika. Ależ ja jestem ciemną.

Piotr. Ciemną... panienka jesteś...

Frochard (do siebie). No, no... proszę... ślepa... bez rodziców, bez znajomych... (przypatruje się jej). A takie to młode i ładne...

Piotr (cicho). Prawda, bardzo ładna.

Frochard. Zabieraj swoje kamienie, i idź sobie, ja się nią zajmę.

Piotr. Zapewne matko, trzeba jej dopomódz do odszukania.

Frochard. Dobrze, dobrze, już ja wiem co trzeba zrobić... idź precz.

Ludwika (niespokojna). Pani mnie nie opuścisz?

Frochard. Nie, nie, moje dziecko, nie — jestem przy tobie.

Piotr (oddalając się). Ciemna... biedna. Taka młoda i ładna, (ze smutnym uśmiechem), ładna i cóż ot ciebie obchodzi pokrako.

Frochard. Nie rozpaczaj moje dziecko. Może się przecież znajdą poczciwi ludzie, którzy ci dopomogą w odszukaniu siostry.

Ludwika. A do kogóż się udać?

Frochard. Do mnie, do mnie moje dziecię — do poczciwej matki rodziny, która ci dopomoże w poszukiwaniach, — a tym czasem da schronienie.

Ludwika. O pani, jakżeś dobra, żeś się nademną ulitowała... My ją znajdziemy nieprawdaż?

Frochard. Znajdziemy, znajdziemy ale na to trzeba czasu, (na stronie). Bardzo wiele czasu, (głośno). Chodźmy, ale uprzedzam cię, że nie zaprowadzę cię do pałacu.

Ludwika. Niestety, dla mnie każde mieszkanie jednakowe.

Frochard. Prawda, ślepa, (głośno). Pójdź moje dziecię.

Ludwika. Oddaję się pod opiekę twoją, litościwa pani.

Frochard. I dobrze się udałaś (na stronie). Zdaje się, że znalazłam dobry zarobek (wyprowadza ją).

Piotr. To dziwne! Teraz czuję, że nie jestem już tak osamotnionym na świecie.

Zasłona spada.

Obraz Drugi.

Mieszkanie Margrabiego w Belle-Air. — ogród z kioskami — altany, fontanny, baseny otoczone statuami — wazonami z kwiatami — rozwieszone lampy. — Stół paradnie nakryty w głębi — mniejsze stoły przygotowane do gry — siedzenia ogrodowe — fotele aksamitne, huśtawki i t. p.

SCENA PIERWSZA.

Margrabia — De Mailly — D'Esters — Julja — potem Floretta — Goście. Przy podniesieniu zasłony wszystkie osoby tworzą rozmaite grupy — spacerują — grają w kości — i w karty — huśtają i t. p.

Margrabia. I cóż panowie, czy moje mieszkanie i park nie odpowiadają swojej reputacji?

De Mailly. Jesteśmy oczarowani wszystkim co tu widzimy.

Magrabia. A teraz dla lepszego humoru tokaju cypryjskiego.

Wszyscy. Dobrze, dobrze, — szampana.

Floretta. (przybiegając w stroju wiejskiej dziewczyny). Stójcie, zgoda na wino, ale nie na szampana. To rzecz nadto zwykła, tokaju cypryjskiego to rozumiem, (bierze kieliszek). Twoje zdrowie Margrabio.

Margrabia. Raczej twoje kochana Floretto.

Floretta. Co? już tak poufale? która godzina?

Margrabia. Wiesz o tem moja droga, że tutaj nie zwraca nikt uwagi na godzinę.

Floretta (spuszcza oczy). Nie rozumiem pana.

Wszyscy. Brawo! Floretto! Brawo!

Floretta. Ale zapomniałam wam udzielić pewnej wiadomości. Ogromna zmiana zaszła w koafiurach kobiet.

Margrabia. Koafiury kobiet zmieniają się co rano, tylko u mężczyzn zawsze jednako przy strojeniu.

Julja (żywo). Floretto! chodź grać z Wicehrabią.

Floretta. Odstępuję ci go, bo nadto brzydki.

Julja. O kawalerze Vandray sądzisz inaczej? Ale prawda, gdzież on jest? Jeszcze go dziś nie widziałem.

Margrabia. Oczekuję go, i jeszcze jednej

osoby, ale uprzedzam was moje panie, że ona będzie waszą rywalką.

Floretta. A! coś nowego, słuchajcie panowie.

Margrabia. Ma zaledwie lat 18, piękna jak anioł, a niewinna...

Floretta. Gdzieżeś odkrył tę gwiazdę, kochany Margrabio?

Margrabia. W Normandji, moja duszko.

Floretta. Czy w czepeczku?

Margrabia (szczypiąc ją w twarz). Czepek i saboty, — złośliwa istoto! (hałas w głębi — służba wzbrania wejścia Picardowi).

SCENA DRUGA.

Ciż i Picard.

Picard (w głębi). Ależ powtarzam wam, że muszę z waszym panem mówić.

Margrabia (idzie w głąb). Co to jest? któż to sobie pozwala?

Picard. Ja panie Margrabio — służący kawalera de Vandray.

Margrabia. Puśćcie go! puśćcie! I cóż Picard, twój pan daje na siebie czekać.

Picard. Mój pan polecił mi przeprosić pana Margrabiego.

Floretta. Jakto, nie przyjdzie pomimo przyrzeczenia?

Picard. Panią to dziwi? pani nie znasz młodego mojego pana, jestto człowiek najkapryśniejszy na świecie.

D'Estres. Rzeczywiście!

Picard. Tak jak każdy dobrze wychowany człowiek, spędza noce na hulankach i rozmaitych szaleństwach, ale całe dnie poświęca pracy (z pogardą). Tak moi państwo, czyta, pisze, jak jaki prosty pisarz.

Margrabia. Proszę.

Picard. A jak dziwnym jest wobec wszystkich! naprzykład wobec wierzycieli.

Margrabia. Cóż może ich bije?

Picard. A ba! płaci panie — płaci.

Wszyscy. A!

Margrabia. Czy podobna?

Picard. Gdyby tylko tyle! Ciągle proszę państwa siedzi pomiędzy rozmaitymi filozofami. Jabym ich wszystkich wpakował do Bastylji.

Floretta. Biedny mój kawaler.

Picard. Dzięki tym smutnym praktykom, stracił proszę państwa do tego stopnia poczucie swojej godności, że wczoraj gdym się uderzył w głowę, — chcąc mu prędko usłużyć, wziął mnie za rękę, — tak proszę państwa mnie swojego służącego, — i uścisnął ją jakby jakiego przyjaciela. Ja zawstydziłem się, słowo honoru, zawstydziłem się!

Margrabia. Ale dzisiaj jakaż uroczystość mogła przeszkodzić, aby nie przyszedł do nas?

Roger (wchodzi głębią). Ja to państwu powiem!

SCENA TRZECIA.

Ciż i Roger.

Wszyscy (otaczają go). A on! on! pójdź nasz drogi.

Margrabia. Co u djabła nagadał nam Picard, że nie przyjdziesz?

Roger. Bo rzeczywiście nie miałem przyjść.

Picard (na stronie). A przecież przybył, to mi człowiek!

Floretta. Skądże przybywasz latawcze?

Roger. Wiadomo wam, że Beaumarchais miał stoczyć walkę.

Margrabia. Tak, tak, z powodu jakiejś złośliwej sztuki, którą policja zakazała.

Mailly. Szalony dzień podobno.

Roger. Publiczność stanęła po stronie autora — król musiał ustąpić, a sztuka odniosła zwycięstwo!

Margrabia. Jeśli tak, to monarchizm zaczyna upadać.

Roger. A lud się wznosi!

Margrabia. Wkrótce przyjdzie do tego, że zniszczą nasze tytuły, przywileje!

Roger. Bądź pewnym Margrabio, że to nastąpi.

Picard (śmieje się).

Roger. Pana Picard to śmieszy?

Picard. Niech pan przebaczy, ale mnie się to wydaje tak śmiesznem, — jak gdyby kto powiedział, że nasi Paryżanie zniszczą kiedyś Bastylję.

Roger. Kto wie? (siada i pije).

Picard. Ha! niech się lud wznosi, — niech rośnie!... ja wtedy zejdę...

Roger. Na ulicę?

Picard. Jeszcze dalej proszę pana! (na stronie). Do piwnicy! (Odchodzi).

Margrabia. Rzeczywiście kawalerze, jesteś dla mnie żyjącą zagadką, raz postępujesz jak człowiek dobrze urodzony, a w chwilę potem...

Roger. Jak plebejusz... to prawda.

Margrabia. Ale w końcu, do czego pan dążysz, i czego żądasz?

Roger. Czego żądam? korzystać z czasu który nam grozi. — Bawię się póki mogę, a pracuję dla owej chwili, w której bawić się nie będę już w stanie. Czy macie oczy aby widzieć, uszy aby słyszeć... Więc słuchajcie! słuchajcie tego głuchego gwaru, — patrzcie na ten lud, który się budzi, — patrzcie na te czoła pochylone od wieków, jak się teraz wznoszą dumnie i odważnie. — Ten ogrom postępujący naprzód, — to lawina, której się nic oprzeć nie zdoła! Otóż jeśli ma zalać nasze ziemie, zamki, pałace i wszystko, więc staram się spożyć, i bez tego pożywienia się obejść. Ale dajmy temu wszystkiemu pokój!... Wierzcie mi moi przyjaciele, pijmy, śpiewajmy, — upajajmy się czem możemy, tyle zyskanego.

Floretta (nalewa). Po naszej śmierci koniec świata!

Wszyscy Brawo! brawo!

Lafleur (wchodzi i mówi cicho do Margrabiego). Rozkazy pana Margrabiego wypełnione.

Margrabia. Wybornie! gdzież to wiejskie dziewczę?

Lafleur. Jest tam.

Margrabia. Niech ją przyprowadzą.

Scena Czwarta.

Ciż — Lafleur — potem Henryka.

Margrabia. Panowie! przyrzekłem wam zakończenie mojego romansu — oto patrzcie! (wskazuje Henrykę, którą wnoszą cztery młode dziewczęta, i składają ostrożnie na sofie, — pomiędzy gośćmi objaw wielkiej ciekawości, zbliżają się do Henryki. Roger zostaje na fotelu z kieliszkiem w ręku).

Floretta. Co to jest! kto to jest!

Julja. To owa zapowiedziana rywalka.

Roger (obraca głowę). Młoda dziewczyna. dobre były łowy.

Julja. Patrzcie, zemdlała!

Floretta. Tylko zasnęła, zemdleje po później.

Margrabia (do gości). I cóż? jak ją znajdujecie?

Floretta. Twarz bardzo zwykła.

Julja. Nogi wielkie.

Floretta. Ręce chłopskie.

Mailly (do Rogera). A twoje jakie zdanie, kawalerze?

Roger. Twarz przecudna, wyraz szlachetny, nóżki i rączki książęce.

Mailly. Nie widziałeś jej.

Roger. Tak, ale słyszę co mówią te panie.

Floretta. Czy jeszcze nie myśli się obudzić?

Lafleur (do Margrabiego). Kilka kropel z tego flakoniku na chusteczkę pana Margrabiego, a skutek będzie niezawodny.

Margrabia. Dobrze, jestem z ciebie zadowolony (daje sakiewkę).

Lafleur (patrząc na pieniądze). Również i ja z pana Margrabiego, (wychodzi).

Floretta. Dawaj Margrabio, dawaj! (bierze flakonik).

Margrabia. Co ona powie, gdy jej zmysły powrócą.

Roger. Znane rzeczy, powtarzają się one przy każdym porwaniu młodej dziewczyny. "Gdzież to ja jestem? Dla czego przyprowadzono mnie tutaj? Wielki Boże! o matko, moja matko!" Potym następuje wielka i cnotliwa rozpacz, która się zaczyna wśród potoku łez — a tonie w nurtach szampana!

Floretta. Wkrótce zobaczymy! (skrapia chustkę płynem z flakonika i zbliża do ust Henryki). Uważajcie, otwiera oczy!

Henryka (podnosi się zwolna, patrzy wokoło w osłupieniu — potem zrywa się gwałtownie i mierzy wszystkich okiem obłąkanym, — idzie od jednej osoby do drugiej, a stanąwszy naprzeciw Margrabiego, wznosi

ręce do czoła i wydaje okrzyk, — i cofa się z przerażeniem).

Henryka. Czy ja szalona? czy ja śnię?... ah!

Floretta (cicho do Rogera). Nie zupełnie tak jak pan przepowiedziałeś.

Roger. Prawda, to dziwne.

Henryka (do Margrabiego urywanym głosem). Wskutek pańskiego rozkazu porwano mnie i przyprowadzono tutaj.

Margrabia. Więc pani czynisz mi ten zaszczyt, i raczysz mnie poznać? Tak, to z mojego rozkazu.

Henryka. Ani słowa więcej! chcę natychmiast powrócić tam, skąd mnie uwięziono! Słyszysz pan — tak być musi!

Margrabia. Pani sądzisz, że pozwolimy ci oddalić się, stąd tak prędko?

Henryka. Słuchaj mnie pan, rozumiem jak szkaradnie nastawiłeś na mnie sidła, ale sam nie pojmujesz do jak wysokiego stopnia ohydnym jest czyn, którego się dopuściłeś, — porwanie, napad, zamiar uwiedzenia, — to zbrodnia, to podłość, ale to coś pan uczynił stokroć ohydniejsze! Rozłączyłeś mnie z biedną istotą, której ja jedyną byłam podporą. Porwałeś jej przewodnika i opiekuna, a ona nie może ani jednego kroku zrobić bezemnie, bo jest ślepa!

Wszyscy. Ślepa!

Henryka. Tak ślepa! i została sama, sama w Paryżu, gdzie nie zna nikogo, bo przyjechałyśmy po raz pierwszy, — błąka się bez

pomocy, bez pieniędzy i narażona jest na tysiączne niebezpieczeństwa! w pobliżu rzeki, w pośród obcych, w pośród powozów przyjeżdżających — sama ślepa, czy słyszycie panowie!

Floretta. Biedna dziewczyna!

Roger (na stronie). To okropne!

Margrabia. Uspokój się pani, wydam rozkazy, wyślę ludzi, znajdą ją i przywiozą tutaj.

Henryka. Ona! w tym domu wraz ze mną? Dwie obelgi zamiast jednej? dwie ofiary zamiast jednej? i to jedyna twoja odpowiedź, mój panie? Czyż tu się nikt nie znajdzie, ktoby się ujął za mną, ktoby przeciw tobie śmiał powstać? A więc ja wam powiem, że w pośród całej waszej zgrai rozpustników, nie ma ani jednego szlachcica!

Roger (rzuca kieliszek o ziemię).

Margrabia. Mylisz się piękna pani, wszyscy jesteśmy tutaj szlachcicami!

Henryka. A więc pomiędzy wszystkimi tymi szlachcicami, nie ma ani jednego człowieka z honorem!

Roger (zbliża się do niej). Mylisz się pani! (podaje jej rękę). Podaj mi rękę i wychodźmy stąd!

Henryka (z radością). O dzięki panie! wychodźmy!

Margrabia (zastępuje drogę). Za pozwoleniem! Jestem w swoim domu, i sprzeciwiam się temu kawalerze!

Roger. Puszczaj pan!

Margrabia. Nie puszczę (zegar bije dwunastą). Słuchajcie północ! Nikt jeszcze o tej godzinie nie wyszedł z mojego domu!

Roger. My będziemy pierwsi; z drogi!

Margrabia. Czy wiesz kawalerze, że przemawiasz do mnie jak do lokaja!

Roger. Gdyby lokaj tak postępował jak ty Margrabio, nic nie mówiłbym do niego, lecz użyłbym szpicruty!

Margrabia. To słowo może cokolwiek opóźnić twoje wyjście kawalerze!

Roger. Być może!

Margrabia (dobywa szpadę). Sprubój pan wyjść!

Roger (dobywa szpady). Spróbujemy.

Wszyscy. Margrabio! kawalerze! zastanówcie się! stójcie!

Margrabia. Po podobnej zniewadze, ani słowa moi panowie! (biją się).

Henryka. Boże! zlituj się! czuwaj nad nami!

Margrabia (uderzony szpadą Rogera chwieje się i pada). A! (Wszyscy go podtrzymują).

Roger (do Henryki). Służę pani! (Wyprowadza ją).

Zasłona spada.

AKT DRUGI.

Obraz Trzeci.

Gabinet Naczelnika Policji.

SCENA PIERWSZA.

DeLinieres, Marest i Urzędnicy.

(Przy podniesieniu Linieres siedzi przy stole zarzuconym papierami, które czyta i podpisuje. Urzędnicy stoją za nim i oczekują rozkazów w milczeniu.

Linieres. Jeszcze przez kilka dni zatrzymywać będę panów dłużej od mego przewodnika, bo otrzymawszy dopiero wczoraj nominację na naczelnika policji, muszę rozpoznać sprawy.

Marest. Jesteśmy na rozkazy pana naczelnika!

Linieres (wstaje). Podpisałem rozkazy najpilniejsze, oto są! Czuwajcie pilnie nad domami gry i szynkami; polujcie na szulerów i złodziei.

Marest. Ta zwierzyna mnoży się okropnie.

Linieres. Król życzy sobie, ażeby skandale poprzedniego panowania nie ponawiały się obecnie. Trzeba położyć tamę owym nocnym napadom i zbrodniczym porywaniom, które przynoszą hańbę i nieszczęście całym rodzi-

nom. **Jak to może być, ażeby w Paryżu o** ósmej godzinie wieczorem porwano młodą dziewczynę, i nikt temu nie przeszkodził?

Marest. Są łotrzy tak zręczni i odważni...

Linieres. A więc nasi ojcowie nie posiadają tych zalet...

Marest. Oni to właśnie odkryli wspólników.

Linieres. Już trzy miesiące jak popełniono tę zbrodnię, a dotąd nie wymierzono sprawiedliwości.

Marest (uniżenie). Ta sprawa panie naczelniku, połączona jest z pewnymi okolicznościami.

Linieres. Z jakimi okolicznościami?... Mów pan! chcę wiedzieć wszystko! Do kogo należy ów pałacyk w Belle-Aire?

Marest. Do Margrabiego de Presles.

Linieres. De Presle? znakomita rodzina, której ostatni potomek wsławił się tym, że otrzymał pchnięcie szpadą od jakiegoś rozpustnika w walce o podejrzaną dziewczynę. Cóż się stało z tą dziewczyną po owym pojedynku?

Marest. Została wyprowadzoną przez przeciwnika Margrabiego de Presles.

Linieres. Jego imię? Mów pan!

Marest. Siostrzeniec pana naczelnika.

Linieres. Jesteś pan pewnym, że się nie mylisz?

Marest. Najzupełniej panie naczelniku, — znam doskonale wszystkich panów, którzy się w owej nocy znajdowali w tym domu.

tudzież wszystkie damy, które tam zaproszono.

Linieres. Dobrze! Ci panowie pojmą wkrótce, że podobna rozpustka cierpianą być nie może, że to, to zniewaga dla szlachcica, i że w naszych czasach nie dosyć jest nosić piękne imię, lecz trzeba je nosić godnie. Co się zaś tyczy owych dam, dla których nasi synowie się rujnują i zabijają, wskażemy im bezpieczne schronienie w więzieniu poprawczym, lub za granicami kraju.

Marest. Pan naczelnik nie zechce zapewne aby ta sprawa tak jak inne zanotowaną była w archiwum policyjnym.

Linieres. Więc to archiwum istnieje rzeczywiście?

Marest. W najzupełniejszym porządku. — Niema ani jednej familji w całej Francji, której nie mielibyśmy całej historji, znajdują się tam najtajniejsze dramaty, szczegóły najdrobniejsze. Pan naczelnik raczy tylko wymienić jakie nazwisko, a otworzę księgę i za pięć minut...

Linieres. Dobrze, a ponieważ de Linieres ma swoje akta, więc proszę wpisać wszystko, co jego tyczy.

Marest. Jakto pan naczelnik rozkazuje?

Linieres. Przyrzekłem królowi, że działać będę energicznie, a urzędnik surowy dla drugich, powinien być nieubłaganym dla swoich. Proszę wykonać!

Marest. Będę posłuszny! (**kłania się i wychodzi,** w tej samej chwili **wchodzi Picard**).

SCENA DRUGA.

Linieres — Picard.

Linieres. A! to ty Picard! w stosowną przychodzisz chwilę. Mam z tobą pomówić o twoim panu.

Picard. O mój pan, mój pan!

Linieres. Pan Roger porządnie się prowadzi?

Picard. Skandalicznie panie, hrabio, a ponieważ pan hrabia umieścił mnie u swojego siostrzeńca, więc przychodę prosić o pozwolenie, abym mógł podziękować za służbę.

Linieres. Jakto, chciałbyś?

Picard. Tak, proszę pana hrabiego, mój pan ma zasady, z którymi ja zgodzić się nie mogę.

Linieres. Dobrze więc, ja biorę cię do służby.

Picard. Jakto? pan hrabia? ah, oddycham, odżyję na nowo życiem porządnym.

Linieres. Ale żądam jeszcze byś pozostał przy nim przez pewien czas, i czuwał nad nim, oraz zdawał mi sprawę z jego postępowania, wprawdzie mógłbym użyć agentów policyjnych, ale nie lubię tego środka. Donieśli mi oni już nie jedno, a przez ciebie muszę się dowiedzieć o reszcie.

Picard. O reszcie? więc pan hrabia myśli?...

Linieres. Nie wiesz o rzeczach najważniejszych?

Picard. Panie hrabio, ja drżę cały!

Linieres. Nie dość mu było nocy spędzanych na grze i rozpuście, która ciebie oburzała...

Picard. Jakto?... mnie oburzała?... za pozwoleniem pana hrabiego...

Linieres. Dowiedz się, że po odbytym pojedynku...

Picard (zdziwiony). Mój pan miał pojedynek?

Linieres. Tak jest, pojedynek o jakąś kobietę.

Picard (ucieszony). Pojedynek o kobietę! A to mi człowiek!

Linieres. Bił się z panem de Presles, i ranił go niebezpiecznie.

Picard. Brawo! brawo!

Linieres. Co mówisz?... Ale na tym nie koniec.

Picard (wesoło). A czy jeszcze co więcej?

Linieres. Ta kobieta, którą porwał Margrabiemu, jest jego kochanką.

Picard. Jego kochanką... więc mamy... (poprawia się). Ma kochankę?... A! i pojedynek i kochanka!... a ja chciałem go porzucić.

Linieres. Nie, — jak ci powiedziałem, musisz przy nim zostać.

Picard. O zostanę, zostanę chętnie.

Linieres. Dowiesz się, gdzie on ją chowa.

Picard. O, dowiemy się panie hrabio, dowiemy, — niech się pan hrabia na mnie spuści!

Linieres (spostrzegłszy wchodzącą hrabinę). Odejdź, i pamiętaj o moich zleceniach! (Picard odchodzi skłoniwszy się hrabinie).

SCENA TRZECIA.

Linieres — Hrabina.

Hrabina. Mówiono mi hrabio, że chcesz się ze mną rozmówić.

Linieres. Właśnie miałem zamiar udać się do ciebie, hrabino, by pomówić o twoim siostrzeńcu, chciałem cię prosić, abyś go wraz ze mną przygotować chciała do tego, związku, który król...

Hrabina. Chce mu narzucić?

Linieres. Narzucić?... Związek znakomity! Jest to szczyt łask, którymi jego Królewska Mość obdarzyć nas raczy!

Hrabina. Rzeczywiście, wysoka łaska! Jesteś naczelnikiem policji, wkrótce zostaniesz zapewnie ambasadorem lub ministrem.

Linieres. Król zrobił mi nadzieję.

Hrabina. I jesteś szczęśliwym?

Linieres. Wierz mi hrabino, że szczęśliwszym być nie można.

Hrabina. Po dawnem życiu spokojnym, stałeś się nagle chciwym sławy, władzy i wielkości.

Linieres. Nie inaczej!

Hrabina. Nie hrabio, ja ci nie wierzę!

Linieres. Jakto, co chcesz przez to powiedzieć?

Hrabina. Chcę powiedzieć, że te wysokie godności przyjąłeś jedynie dla mnie.

Linieres. Czytasz w moim sercu, tak droga moja Djano! Sądziłem że czynne życie, które rozpocząłem, stanie się dla ciebie źródłem rozrywki, — że pobyt w Paryżu i wstęp do dworu milszym ci będzie, aniżeli zacisze wiejskie, a w końcu miałem nadzieję, że to życie wśród wiru wielkiego świata, rozpruszy twój smutek, który mnie tak martwi, a którego niczym zwalczyć nie zdołałem. Wierz mi Djano, pragnienie zaszczytów, jest szlachetną namiętnością, a władza cennym przywilejem. Osuszać łzy cierpiącym, pocieszać nieszczęśliwych — zapobiegać nędzy nie drobnymi twoimi datkami, ale rzucać pełnymi garściami złoto czerpane ze skarbów państwa Djano, czy to nie przemawia do twojej duszy?

Hrabina (na stronie). Prawda, nie pomyślałam o tym (głośno). Przyznaję, władza twoja jest prawie nieograniczoną, przed nią się wszystko otwiera, ona przenika wszystkie tajemnice, wciska się do najgłębszych jaskiń, gdzie się kryje nędza lub zbrodnia, — władza ta może dokazać nie jednego, co dla drugich jest niemożliwym, i mogłaby nawet znaleźć...

Linieres (ździwiony). Co?

Hrabina (poprawia się). Wszak powiedziałeś... tych którzy cierpią i płaczą.

Służący (anonsuje). Kawaler Roger.

SCENA CZWARTA.

Ciż i Roger.

Linieres. Szczęśliwy jestem kawalerze że cię widzę — hrabina i ja mamy ci udzielić pewnej ważnej wiadomości.

Roger. Więc w stosowną przybyłem chwilę.

Linieres. Kochany Roger, byłem wczoraj w Wersalu dla złożenia Jego Królewskiej Mości mego podziękowania. Król raczył mówić ze mną o tobie.

Roger. O mnie?...

Linieres. Zajmuje się tobą bardzo. Chce cię obdarzyć wysokim urzędem — a potem chce cię ożenić.

Roger. Mnie ożenić?

Hrabina. Pojmuję że cię ta wieść zadziwia, że cię nawet trochę przestrasza, bo często niestety! serce nie bywa nawet zapytane przy podobnych związkach, lecz twoje serce dzięki Bogu, nie będzie zmuszone do zadania sobie gwałtu. Młodość, piękność, bogactwa — niczego nie brak osobie, którą ci król wybrał za małżonkę.

Linieres. Aby cię przekonać, że tak jest rzeczywiście, dość wymienić nazwisko panny de...

Roger. Nie wymawiaj nazwiska mój wuju, nie pragnę poznać go wcale.

Linieres. Dla czego? jestto nazwisko osoby...

Roger. Która nie wątpię, wyrządziłaby mi wielki zaszczyt oddając swą rękę: nie

mam nic przeciw osobie, lecz odrzucam związek małżeński.

Linieres. Odrzucasz?

Roger. Stanowczo panie hrabio!

Linieres. Zanim się wyrazisz tak stanowczo, posłuchaj kawalerze pierwej mojej rady, i zastanów się, związek ten jest zaszczytem który spływa na ciebie i na nas z ręki króla.

Roger. Podziękuję królowi za jego łaskę, oddam na jego usługi nawet życie, ale powtarzam raz jeszcze, chcę być wolnym.

Linieres. Wolnym! wolnym! aby prowadzić życie rozpustne, które wkrótce trudno ci będzie utaić.

Roger. Nie ma w życiu mojem nic takiego cobym chciał utaić, — nic takiego coby wywołało rumieniec na mojej twarzy!

Linieres (surowo). Jesteś tego pewnym kawalerze?

Roger. Panie hrabio!

Hrabina (wstaje niespokojna). Roger! (zwraca do męża). Panie hrabio! zaklinam cię!

Linieres. Dobrze, pomówimy o tym później. Nie chcę jeszcze powątpiewać o twoim rozsądku i posłuszeństwie, lecz przypominam ci kawalerze, że ja jestem głową rodziny, że jej honor jest pod moją opieką, i nie dopuszczę, aby się nań targnięto. (Roger chce odpowiedzieć — hrabina bierze go za rękę — on patrzy na nią i wstrzymuje się). Zostawiam cię z twoją ciotką, znam twoje

przywiązanie do niej, może jej rady będą miały dla ciebie więcej wartości, aniżeli moje. Do widzenia kawalerze! (wychodzi).

SCENA PIĄTA.

Roger i Hrabina.

Hrabino (żywo). Kto jest owa kobieta, którą kochasz? Jaka przeszkoda rozłącza cię z nią, i dla czego nie prosiłeś o jej rękę, zanim król powziął zamiar przeznaczenia i żony? Jeżeliby wam chodziło tylko o majątek, to ja mam dosyć, i dałabym wam chętnie.

Roger. O niezrównane serce, Tak, kocham młodą dziewczynę, piękną, niewinną, szlachetną, ale nie śmiałem jej tego powiedzieć.

Hrabina. Czy ma imię — rodzinę?

Roger. Pochodzi z ludu, jest sierotą, i utrzymuje się z pracy rąk.

Hrabina. I z nią chcesz się żenić?

Roger. O nie sądź moja ciotko nie znając. Gdybyś ją zobaczyła, jestem pewnym, że powiedziałabyś mi...

Hrabina. Powiedziałabym, że miłość podobna stać się musi dla niej i dla ciebie źródłem łez i zmartwienia, i że trzeba jej się wyrzec. Powiedziałabym, że winien jesteś posłuszeństwo królowi i rodzinie.

Roger (z uniesieniem). Gdybyś to powiedziała! moja ciotko! ty, która tyle wycierpiałaś, ty ofiaro tego posłuszeństwa! które mnie

wskazujesz jako obowiązek, a które ciebie złamało?...

Hrabina (z wykrzyknikiem). Kto ci to powiedział? kto odkrył tobie tę tajemnicę, która jest moim udręczeniem od lat tylu? (płacze).

Roger (trzyma ją za rękę). Była w świecie jedna tylko dusza szlachetna, która oceniała ciebie, twoja siostra, a moja matka. — W chwili, kiedy się rozstawała z nami na zawsze, zażądała odemnie przysięgi, że przez całe życie opiekować się tobą będę, i przybędę ci w pomoc, gdyby jakie nieszczęście miało nad tobą zawisnąć. — Przysiągłem!

Hrabina. I ona powierzyła ci wszystko! moje cierpienia, moją rozpacz. O! teraz pojmuję twoje niespokojne spojrzenia, gdy w smutku pochyliłam głowę, gdy łzy zwilżyły me lica. Prawdę wyrzekłeś przed chwilą, ten obowiązek — to posłuszeństwo złamało życie moje; — w szale młodości, — popchnięta młodzieńczą miłością, — popełniłam błąd. Ten którego kochałam — umarł a dziecię moje musiało zniknąć... wymagał tego honor rodziny, bo ręka moja była przyrzeczoną hrabiemu de Linieres. Trzeba było oszukać szlachetnego człowieka, i skazać siebie na wieczny wyrzut albo poświęcić życie mojej córki!... Ugięłam się przed niezłomną wolą ojca mojego... Miałam nadzieję, że Bóg ulituje się nad biedną istotą, którą zaledwie uścisnąć mogłam i pożegnać musiałam. Włożywszy do kołyski cokolwiek

złota które posiadałam, i kilka słów do tych, którzy się nią opiekować zechcą, — powiedziałam sobie: .może ją kiedyś zobaczę! Niestety! upływały dnie i lata, a modły moje były bezskuteczne — i poszukiwania daremne.

Roger. Okrutnie z tobą postąpili moja ciotko!

Hrabina. Tak okrutnie, że nieraz zapytuję siebie, czy nie lepiej było rzec do nich: zabijcie ją! Byłabym i ja umarła i nie znosiła katuszy przez lat 16-cie. Nie zapytywałam się przez lat 16-cie gdzie ona jest? W jaką ją przepaść wtrącił brak opieki! — Może ona mnie oskarża, i woła w rozpaczy: Bądź przeklęta matko bez serca! O! to straszliwe przekleństwo słyszę wśród modlitwy, — i słyszę we śnie — słyszę zawsze, — zawsze!

Roger. I po tylu cierpieniach, po tylu łzach wylanych, czy każesz mi być posłusznym?... Czy każesz mi życie moje przykuć do życia jednej kobiety z obrazem drugiej w sercu?— Czy radzisz mi to moja ciotko?

Hrabina (energicznie). Nie! nie! (widząc wchodzącego hrabiego). Hrabio! (głosem urywanym gorączkowo). Trzeba mieć litość nad nim! Nie narzucaj mu kajdan wbrew jego sumieniu i sercu, — nie wstępuj w ślady tych ojców, których duma nieugięta skazuje dzieci na kłamstwo i rozpacz.

Roger (bierze ją za rękę i mówi do niej cicho). Uważaj ciotko! (hrabina przychodzi do siebie i stoi osłupiała naprzeciw męża).

Linieres. O jakiej dumie, o jakiem kłamstwie i rozpaczy mówisz Hrabino?

Hrabina (drżąca). Ja... Ja mówiłam...

Linieres. Mów pani!

Roger. Pani hrabina mówiła tylko to, co przed chwilą słyszała odemnie wskutek oburzenia serca mojego przeciw temu małżeństwu, to jest przeciw długim męczarniom, na które chcesz mnie skazać panie hrabio.

Linieres (zimno). A więc to takie znaczenie słów twoich kochana Djano?

Hrabina. Tak, ale jestem wzruszona, pomięszana... zaledwie ustać mogę...

Linieres. Rzeczywiście... odprowadź pan hrabinę do jej apartamentów. (Roger kłania się, i podaje rękę hrabinie). Powróć do mnie bo mamy jeszcze do pomówienia. (Roger i hrabina wychodzą).

Linieres (odprowadza ich wzrokiem, przychodzi do biurka — pisze, potym dzwoni, wchodzi woźny). Do archiwisty! przyniesiesz księgę, którą on ci odda! (Roger powraca. Woźny wychodzi).

SCENA SZÓSTA.

Linieres i Roger.

Linieres. Pojmujesz kawalerze, jakie względy skłoniły mnie do poprzestania na wyjaśnieniu danym mi przez hrabinę.

Roger. Panie!

Linieres. Pojmujesz nie mniej, że wyja

śnienie to nie jest dla mnie przekonywającym.

Roger. Jakto pan sądzisz?

Linieres. Sądzę, że nie płakała nad tobą — lecz nad samą sobą — o tajemnicy jej przeszłości, — która ciąży na jej sercu, a może i na jej sumieniu i która zatruwa mi życie. Mów kawalerze, — co ci powiedziała hrabina?

Roger. Panie hrabio!

Linieres. Proszę i rozkazuję!

Roger. Nic nie wiem, i nie mam nic do powiedzenia panu.

Linieres. Dobrze więc, dowiem się sam o tajemnicy, którą wzbraniasz mi odsłonić.

Roger. Nie wiem, o jakiej tajemnicy mówisz panie hrabio!

Linieres (spostrzega wchodzącego woźnego). Dowiesz się pan o tym wraz ze mną. (odbiera książkę od woźnego, który wychodzi).

Roger (na stronie). Co on mówi?

Linieres. W archiwum naszej policji znajdują się tajemnice najznakomitszych i najnędzniejszych familji, znajdzie się tam historja Djany de Vandrey hrabiny de Linieres.

Roger (podczas gdy Linieres przesuwa kartki). To by było ohydne!

Linieres. Oto jest!... rodzina de Vandrey a Djana Eleonora, córka hrabiego Franciszka de Vandrey!

Roger (kładzie rękę na otwartej książce).

Stój panie hrabio! czytać tego nie będziesz!

Linieres. Cóż to ma znaczyć?

Roger. To co uczynić chciałeś, jest niegodnym człowieka szlachetnego urodzenia. Byłoby to takim pogwałceniem tajemnicy, jak zdradzenie spowiedzi, — nie uczynisz tego!

Linieres. Któż mi wzbroni?

Roger. Honor, który cię oburza na podobną zdradę, a jeśli głos honoru nie będzie dość silnym, aby cię powstrzymać panie hrabio, natenczas ja to uczynię!

Linieres. Ty?!

Roger (wydziera kartkę z księgi, mnie, i chowa do kieszeni).

Linieres. Nieszczęśliwy!

Roger. Zapowiadam ci panie hrabio, że aby wydrzeć mi ten papier, musiałbyś mnie zabić. (bierze go za rękę, cicho). Pomnij hrabio, że bronię nie tylko jej tajemnicy, ale i twojej godności, twojego honoru, przeciwko tobie samemu.

Linieres. Dobrze, przywodzisz mi na pamięć mój obowiązek, — dziękuję! Nie zapomnę o niczym, — nie będę wdzięcznym, — i ja z kolei przymuszę pana do spełnienia twoich obowiązków! (daje znak Rogerowi aby odszedł, on odchodzi).

Zasłona spada.

Obraz Czwarty.

Plac Św. Sulpicjusza w Paryżu.

(Na prawo wejście do kościoła — śnieg — przechodnie ciepło zawinięci w płaszcze i chustki — fatra, uwijają się nadchodząc z ulic które się krzyżują, kilka lektyk stoi przed kościołem, kilku żebraków i starców, oraz dzieci stojąc lub siedząc przy drzwiach kościoła).

SCENA PIERWSZA.

Piotr potem Jakób.

Piotr. Dwunasta się zbliża. Wkrótce nadejdą. (Jakób pokazuje się w głębi). Czekajmy! A Jakób! i on musiał tu przyjść.

Jakób. Czy kobiety jeszcze nie przyszły?

Piotr. Nie jeszcze — matka zapewne i panna Ludwika, mają jeszcze gdzieindziej zajęcie.

Jakób. Powinny być tutaj — to godzina wielkiej mszy — pora do interesu.

Piotr. Bądź spokojny — po pierwszym odgłosie dzwonu będą tu niezawodnie.

Jakób. To będzie za późno poczwaro!

Piotr (łagodnie). Jakóbie!

Jakób. Co?

Piotr. Mam cię o co prosić.

Jakób. Jeśli o pieniądze to nie trudź się darmo.

Piotr. Nie, nie, o pieniądze mi nie chodzi.

Jakób. Więc o cóż innego? prędzej!

Piotr (błagająco). Gdy się rozgniewasz na mnie przy Ludwice, krzycz, bij mnie, rób co tylko chcesz, ale nie nazywaj mnie poczwarą.

Jakób. Co? co? więc przemawiać do pana z uszanowaniem? ważyć każde słówko?

Piotr (jak wyżej). Jakóbie!

Jakób. Obrażasz się, że cię nazywam poczwarą, — rzuć okiem na twoją budowę.

Piotr. Wszak wiesz, że jeżeli jestem kaleką, to ty przyczyniłeś się do tego, bo złamałeś mi nogę, gdy byłem dzieckiem.

Jakób. Kłamiesz!

Piotr. Tak, złamałeś mi nogę, bo nie chciałem dla ciebie ukraść surduta.

Jakób. Kłamiesz, to był płaszcz!

Piotr. Miałeś zawsze zwyczaj kazać drugim kraść za siebie — po mnie nastąpiła Marja.

Jakób (w gniewie grozi mu uderzeniem). Marja! zabraniam ci mówić o niej, nędznica!... niewdzięczna... wolała iść do więzienia, jak żyć wesoło razem ze mną!

Piotr. Wolała zostać uczciwą kobietą!

Jakób. I rozpoczęła edukację w kozie, w pensjonacie policyjnym.

Piotr. Bądźże sprawiedliwym!

Jakób. Dość tego! Nie chcę o tym słyszeć! Znajdę sobie inną ładniejszą i zręczniejszą! co się zaś tyczy ciebie, kiedy ci poczwara nie w smak, to będę cię nazywał Kupidynkiem.

Piotr (traci odwagę). Rób co chcesz!

Jakób. Ale przychodzi mi na myśl. Wobec Ludwiki nie chcesz, aby cię przezywano... czy ty przypadkiem... Ha! ha! ha! to byłoby zabawne!

Piotr (pomieszany). Co?

Jakób. Ale i nie głupie!... Ślepa... wszystko dla niej jedno... czy ładne czy brzydkie... ty się kochasz w tej ślepej?

Piotr. Ja, cóż za myśl?

Jakób. Dla czegóż więc chcesz abym cię przy niej inaczej nazywał?

Piotr. Toby mi sprawiło przyjemność, gdybym wiedział, że jest na świecie choć jedna osoba, której nie sprawiam odrazy!... Gdyby myślała, że jestem takim jak wszyscy ludzie, możeby mi cokolwiek sprzyjała... ale kochać się w niej!... Ona taka miła, taka piękna... że można ją wziąć za anioła!

Jakób. Gdzieś ty u djabła wszystko to odkrył? Wprawdzie ja nie przypatrywałem się jej z bliska i dokładnie, i wiem tylko tyle że jej dwie świeczki zgasły, a przechodnie litują się nad nią, i dają jej dużo pieniędzy!

Piotr. Ślepa to prawda, ale ma głos tak miły, że przenika aż do głębi duszy, a twarz taka łagodna, tak słodka!

Jakób. Czy tak...

Piotr. Oczy tak wielkie i tak piękne, że zdaje się, jak gdyby patrzyły! Nieraz drżę cały myśląc, że ona mię widzi.

Jakób. A cóż ciebie obchodzić to może, jeżeli się w niej nie kochasz?

Piotr. Kochać... ja... tak nikczemna istota! Chybabym był szalonym!

Jakób. Odtąd nie jesteś już poczwarą tylko kupidynkiem.

Piotr (ostro). Nie! nie! ja nie chcę!

Jakób. Co, ty chcesz mieć swoją wolę? Musisz chcieć tego, co ja ci każę, bo inaczej strzeż się!

Piotr. Jesteś starszym odemnie, i silniejszym, więc ja muszę tobie ustąpić, lecz gdy widzę jaki użytek robisz ze swej odwagi i siły to wolę moje nędzne niedołęstwo.

Jakób (wzrusza ramionami). A! otóż idą obydwie!

Piotr. Ona!

SCENA DRUGA.

Ciż, Ludwika, Frochard, potym Doktor i Hrabina. (Ludwika w łachmanach blada, chuda, chwiejąca się nadchodzi śpiewając głosem złamanym i przerywającym płaczem).

Śpiew.

Spojrzyjcie na mnie ludzie poczciwi.
Wokoło mnie wieczna okropna noc,
Wy świat widzicie, wyście szczęśliwi,
Mnie to wzbronione przez Boską moc!

Jakób. Prawda, że ona ma głos rozczulający.

Frochard. No, dalej drugą zwrotkę, ale silniejszym głosem

Ludwika (śpiewa):

Więc się zlitujcie nad mą zgryzotą,
Osłodcie darem straszliwe dnie,
Jam nieszczęśliwą, ślepą sierotą,
Współczucia słówkiem pocieszcie mnie!

Frochard. Dla biednej ślepej... proszę... proszę...

Piotr. Ach, jakiż ona ma wyraz nieszczęśliwy i cierpiący.

Jakób. Patrzcie, co za gołąbek! Nie rozczulaj się kupidynku! (ludzie, którzy słuchali śpiewu Ludwiki oddalają się).

Frochard (powraca do ludu). O! co to za psy! zawsze tak się dzieje!... Do słuchania jest cała zgraja, a jak przyjdzie dać pieniądze, nie ma nikogo.

Jakób. Może lepiej się uda przy wyjściu z kościoła.

Frochard. Powrócimy tutaj wkrótce (bierze Ludwikę za rękę). Chodźmy! chodźmy!

Ludwika. Jestem bardzo zmęczona proszę pani.

Frochard. Odpoczniemy w wieczór.

Ludwika. Ledwie stoję na nogach, tak wiele chodziłyśmy już dzisiaj.

Frochard. Wszak sama chcesz chodzić, aby spotkać się z siostrą.

Ludwika. Tak, ale my chodzimy ciągle po jednej dzielnicy.

Frochard. Skądże znowu takie myśli? Jakże wiesz o tym kiedy nie widzisz?

Ludwika. O wiem, wiem! A pani przyrzekłaś mi, biorąc do siebie

Frochard. Przyrzekłam, że ci dopomogę w twoich poszukiwaniach. Ale nie mam ani kapitałów, ani kamienicy, i dla tego chcę abyś śpiewała, szukając; trzeba zarabiać na chleb, który zjadasz.

Ludwika (z płaczem). Ja też śpiewam.

Frochard. Tak, ale płaczliwym głosem.

Ludwika (z płaczem). Zaręczam pani, że śpiewam tak wesoło, jak tylko mogę, ale to odemnie nie zależy... gdy pomyślę... co robię... (wybucha) O! ja jestem bardzo nieszczęśliwa.

Piotr (chce do niej się zbliżyć). Ludwiko!

Jakób (zatrzymuje go). A to co?

Piotr (na stronie). To mnie boli, gdy ją widzę płaczącą.

Jakób. Patrzcie!... ona dość ładna jak płacze.

Frochard. Dosyć tych rozumowań, chodźmy!

Ludwika. Chodźmy!

Frochard. Nie ocieraj oczów, to bardzo dobrze jak widać prawdziwe łzy, to rozczula przechodniów, (nadchodzi nieznajomy, zatrzymuje się i daje pieniądze). A co? nie powiedziałam? Przecież znalazł się taki co dał, (wyprowadza Ludwikę). Dla biednej ślepej, proszę! (wychodzą) (słychać dzwony, ludzie wchodzą do kościoła, Piotr z Jakóbem wychodzą, z głębi zbliża się hrabina niesiona w lektyce, z lewej doktor).

Doktor (zatrzymuje się). A to hrabina de Linieres! (zbliża się i podaje rękę Hrabinie).

Hrabina. Szczęśliwą jestem doktorze, że pana spotykam.

Doktór. Sądzisz pani zapewne, że tym spotkaniem uwolnisz się od mej wizyty?

Hrabina. Zawsze mi przyjemnie przyjmować pana jako przyjaciela.

Doktor. Lekarze wcale panią hrabinę nie interesują, a jednak pani jesteś chorą.

Hrabina. Nie.

Doktor. I ta słabość pani nie jest świeżą, ona panią zabija od długich lat.

Hrabina. Mylisz się doktorze, zapewniam cię.

Doktor. Zgoda, niech i tak będzie! Pani hrabina nie jest zupełnie zdrową i to zdrowie wywołują na twej twarzy wyraz smutku, a w oczach niepokój gorączkowy.

Hrabina (z udaną wesołością). Nie wiem doprawdy, skąd to panu przychodzi na myśl. Jeżeli jestem tak niebezpiecznie chorą, to ulecz mnie doktorze.

Doktor. Czy mam mówić szczerze?

Hrabina. Naturalnie.

Doktor. Przedewszystkiem trzeba leczyć duszę pani.

Hrabina. Moją duszę?

Doktór. Chcesz pani wyleczyć się gruntonie?

Hrabina (żywo). Czy chcę?

Doktór. Udaj się do Boga, do tego najwyższego lekarza (wskazuje kościół), który tam udziela rad moich, zna on chorobę pani

hrabiny lepiej odemnie i od wszystkich kolegów moich.

Hrabina (rozczulona bierze go za rękę i ściska go z uczuciem, chce mówić, wstrzymuje się, spogląda na drzwi kościoła, i idzie powoli ku niemu).

Doktór. Złote serce, zatrute zgryzotą, szlachetna i godna kobieta, którą cierpienie zabije, (patrzy na zegarek). Ale już czas udać się do szpitala i więzienia.

Frochard (nadbiega i ciągnie za sobą Ludwikę). Łaskawy panie!

Doktór. Idź precz!

Frochard. Dla biednej ślepej, łaskawy Panie!

Doktór. Ślepa? ta młoda dziewczyna?

Frochard. Niestety, łaskawy panie!

Doktór. W tym wieku! nieszczęśliwe dziecko!

Frochard. Pewnie, że to wielkie nieszczęście dla jej biednej rodziny.

Doktór. Zaraz opatrzę jej oczy.

Frochard (szorstko). Po co!

Doktór. Obróć się tędy, moje dziecię.

Frochard. O, na to nie ma lekarstwa.

Doktór. Kto to powiedział?

Frochard. Kto? wszyscy!

Doktór. Pozwól moje dziecię! stój spokojnie abym mógł dobrze się przypatrzeć, ja jestem lekarzem.

Ludwika (z radością). Lekarzem!

Frochard (na stronie). Lekarz! Po co on się w to miesza?

Doktór. Nie jest ślepą od urodzenia?

Ludwika. Nie panie, to nieszczęście przyszło na mnie w 14-tym rokų życia.

Doktór. W 14-tym roku. I od tego czasu nie robiono żadnych starań?

Ludwika (żywo). Od tego czasu...

Frochard (przerywa prędko). Jesteśmy tak ubogie, że nie było możności.

Ludwika. Ach panie, przez litość! powiedz... powiedz! Czy sądzisz że mogę mieć nadzieję? O! gdybyś pan wiedział z jak okropnego wyrwałbyś mnie nieszczęścia.

Frochard. Ach to prawda! ślepa, nie ma większego nieszczęścia. Gdyby widziała, mogłaby pracować zamiast wyciągać rękę, nieprawdaż moja droga?

Ludwika (drżąca). O tak, pracowałabym.

Doktór. Uspokój się moje dziecię, a was matko proszę bliżej, (odprowadza ją na bok).

Frochard. Jestem, jestem łaskawy panie doktorze... (wyciąga rękę).

Doktór (cicho). Słuchajcie mnie, trzeba ostrożnie ją przygotować, nie mówię jej od razu, jaką ja mam nadzieję.

Frochard. Pan ma nadzieję?

Doktór. Toby ją nadto wzruszyło, a krew uderzyłaby jej do głowy i do oczu.

Frochard. Dobrze, dobrze, nie dopuścimy do tego.

Doktór. Ale wam powiem, że operacja może się udać.

Frochard. Czy podobna?

Ludwika. Co on jej mówi?

Frochard. Może się udać...

Doktór. Przyprowadźcie mi ją do szpitala świętego Ludwika.

Frochard. Dobrze, dobrze... wiem, byłam tam już nieraz.

Doktór. Rzeczywiście... przypominam sobie nawet żem was leczył... tak... wy jesteście wdową po...

Frochard. Po skazanym na śmierć... wymów pan!

Doktór. Wdową Frochard. Ale nie widziałam u was tej dziewczyny.

Frochard. Cierpiała nędzę na prowincji, przyjęłam ją z dobrego serca, aby jej zapewnić los.

Doktór (na stronie). Zapewnić los! (głośno). Za chwilę, gdy się cokolwiek uspokoi, odkryjcie jej delikatnie część moich nadziei... a później...

Frochard. Dobrze, dobrze, bardzo delikatnie, o, spuść się pan na mnie łaskawy panie doktorze!

Doktór (daje Ludwice pieniądz i oddala się). Oto masz biedne moje dziecię, i nabierz odwagi, zobaczymy się jeszcze, i powtarzam, nabierz odwagi!

Frochard (idzie za nim). Niech ci Bóg błogosławi doktorze, niech ci da szczęście i zdrowie! (powraca).

Ludwika. Co on pani mówił cicho?

Frochard. Mówił mi, że nie warto rozpoczynać kuracji, bo nie ma żadnej nadziei.

Ludwika. O mój Boże! mój Boże!

Frochard (obraca się w stronę w którą odszedł doktór, i mówi na stronie) nie przy-

prowadzę ci jej kochanku, nie pozwolę ci nawet, żebyś ją kiedy jeszcze spotkał (głośno). Ludwiko, jak ja jestem dobrą! Skarżysz się że zawsze w jednej kręcimy się dzielnicy, teraz przejdziem w inną.

Ludwika. Dziękuję pani! Pozostaje mi przynajmniej nadzieja odszukania Henryki.

Jakób (wchodzi). No i cóż, jak idą interesa?

Frochard. A prawda! co ci dał doktór.

Ludwika (oddaje pieniądz). Oto jest! Frochard chce wziąć. Jakób wchodzi w środek i chwyta pieniądz).

Jakób. Luidor! proszę! to mi urwisze ci lekarze! muszą porządnie odzierać ludzi, kiedy mogą tyle dawać ubogim.

Frochard. No, oddaj, oddaj!

Jakób. Zimno matko, zafunduję ci wódki.

Frochard. Za moje pieniądze rozbójniku! No chodź mój luby! (do Ludwiki). A ty śpiewaj wesoło, jak będą wychodzić z kościoła. Ja będę tu uważała.

Ludwika. Dobrze Pani.

Jakób. Chodź, chodź matko!

Frochard. Piotrze! gdzież Piotr? hej Piotrze! zaprowadź ją na schody do kościoła.

Piotr. Dobrze matko! (zbliża się do Ludwiki).

Jakób (odtrąca go). Idź precz kupidynku, ja to sam zrobię dla ślepej. (bierze Ludwikę za rękę, prowadzi i sadza na schodach.

Frochard (do Piotra). Zostań przy niej i pilnuj, aby z nią nikt nie rozmawiał.

Piotr Będę pilnował

Jakób (ironicznie). O, nie ma obawy, aby ją pozwolił ukraść (patrzy na Ludwikę). Ona, doprawdy bardzo ładna.

Frochard. Chodźmy mój Jakóbie!

Jakób (wychodzi z matką), (śnieg pada płatami).

SCENA TRZECIA.

Ludwika i Piotr.

Ludwika (pociąga rękę po ramieniu). Zimno mi! (Piotr robi litościwą minę i zrzuca swoje ubranie). Bardzo mi zimno! (Piotr zarzuca jej swoje ubranie na ramię). A! to ty panie Piotrze!

Piotr. Tak panienko, to ja!

Ludwika. Skoro uczułam, że się ktoś nademną lituje, przyszło mi na myśl twoje imię panie Piotrze! (dotyka ubrania). Ależ to twoje ubranie... a ty panie Piotrze?

Piotr. Ja... ja mam wierzchnią suknię watowany kaftan... a zresztą mnie zanadto ciepło (drży od zimna).

Ludwika. Gdyby nie ty panie Piotrze, byłabym może już umarła.

Piotr. Umarła?

Ludwika. Nie miałabym dosyć odwagi do zniesienia tego życia.

Piotr. Prawda, że panienka bardzo nieszczęśliwa, ale cóż ja mogę zrobić, by ci ten los osłodzić? Ja niestety nic zrobić nie mogę.

Ludwika. Usłyszawszy pierwsze słowa z

ust twoich, poczułam, że będziesz mi moim przyjacielem, a może kiedyś opiekunem i obrońcą!

Piotr. Obrońcą! Ależ ja nie mam dość siły! serce mi pęka na widok cierpień panienki! Gdy widzę, że się z tobą źle obchodzą, napada mnie wściekłość i rozpacz, ale niestety jestem nadto słaby! A chociażbym chciał panience przyjść, w pomoc, nie mogę! nic uczynić nie mogę!

Ludwika. A te poczciwe słowa które mówisz do mnie? A te starania, któremi mnie otaczasz codziennie, a nawet i przed chwilą? (dotyka sukni na ramieniu). Twoja litość utrzymuje moją odwagę i dzięki ci za to mój przyjacielu, (podaje mu jedną rękę a drugą dotyka ramienia Piotra i przekonywa się, że on ma ręce w koszuli). A! cóż ze mnie za egoistka! (zdejmuje suknie i oddaje mu).

Piotr. O nie, nie!

Ludwika. Ja chcę tego mój przyjacielu! ja tak chcę! (Piotr odbiera suknię i całuje ją w rękę). Już mi nawet nie zimno... A zresztą, komuż jest zimno wobec tego co ja cierpię?... Szukać jej będziemy razem... powiedziała twoja matka... wkrótce poznałam czego... odemnie wymagano! Poznałam że przyjęto nietylko dla tego, aby okryć łachmanami, i powiedzieć: muszisz żebrać; O myślałam, że umrę z rozpaczy i wstydu! kazano mi śpiewać, śpiewać! a łzy tłumiły głos! Nie mogę, nie mogę! odrzekłam, a dla przymuszenia mnie nie dano mi jeść przez

całe dwa dni. Dłużej wytrzymać nie miałam siły, za kawałek chleba musiałam śpiewać, i śpiewam ciągle.

Piotr (z boleścią). I to matka moja i mój brat są tego przyczyną! A ja! ja!... O jakże nas panienka musisz nienawidzieć!

Ludwika. Ciebie? o nie? ciebie nie mój przyjacielu! Później nabrałam odwagi, a myśl jedyna utrzymywała we mnie tę odwagę! Powiedziałam sobie, że chodząc po całym mieście od domu do domu, może doczekam się tego, że głos mój doleci uszu siostry mojej i śpiewałam, a na końcu śpiewki wołałam: Henryko, to ja! Ludwika siostra twoja! Czy słyszysz mnie Henryko?

Piotr. Ale obawiano się, aby cię kiedy nie usłyszała...

Ludwika. I sprowadzano mnie ciągle w jedno i to samo miejsce.

Piotr. Wiedząc, że tam jej niema.

Ludwika. I gdy skończę śpiewać, albo mi nie dozwala wołać Henryki, albo gdy chcę koniecznie...

Piotr. Chwyta cię w swoje szpony.

Ludwika. Tak, ściska mi rękę, że o mało nie p knie; lecz mniejsza o to, bylem się znalazła w innej dzielnicy, niech mnie dręczy jak chce, będę wołała.

Piotr (cicho). A nie miałaś panienka nigdy myśli uciec?

Ludwika. Myślałam o tym, ale do kogóż mam się udać o pomoc? A gdyby się nawet kto nademną zlitował, czy wiesz coby ze

mną zrobił?... zamknęliby mnie w zakładzie ciemnych, a jedyna moja nadzieja zniknęłaby na zawsze.

Piotr (spuszcza głowę). Prawda! (słychać organy i dzwony).

Ludwika. Msza już skończona. Wkrótce będą wychodzić z kościoła.

Piotr. Matka powróci.

Ludwika. A gdyby nie usłyszała mojego śpiewu... (klęka przy schodach i śpiewa podczas gdy wychodzą z kościoła).

Śpiew. Spojrzyjcie na mnie itd.

SCENA CZWARTA.

Ciż, Hrabina potem Frochard, Jakób, Przechodnie. (Słudzy hrabiny przynoszą lektykę i trzymają drzwiczki otwarte).

Hrabina (zatrzymuje się na schodach kościoła). Modliłam się gorąco, aby mi Bóg córkę powrócić raczył. (daje Ludwice jałmużnę). Czy Bóg mnie wysłucha?

Ludwika (śpiewa). Więc się zlitujcie nad mą zgryzotą itd.

Hrabina (słucha śpiewu Ludwiki). W głosie tej dziewczyny jest coś rozczulającego co rozdziera serce! (zbliża się do Ludwiki). Mój Boże! to spojrzenie! (głośno). Moje dziecię... (Ludwika obraca się do niej z twarzą). Czy ty nie widzisz?

Ludwika. Nie pani!

Hrabina. Co za nieszczęście!

Ludwika. Pani mnie żałujesz?

Hrabina. Bardzo.

Ludwika. Żałujesz mnie dla tego, że jestem ślepą? O nie jest to największe z nieszczęść, które na mnie spadły.

Frochard (nadchodzi).

Hrabina. Co mówisz?... O mów dalej, biedne dziecię, jestem bogatą, mogłabym ci dopomódz.

Ludwika. Ah, gdybym śmiała.

Frochard (zbliża się).

Hrabina. Masz rodzinę, matkę?

Frochard (przybliżając się i chwyta rękę Ludwiki). Ma łaskawa pani, ma poczciwą matkę.

Hrabina. A, to wasza córka!

Frochard. Najmłodsza z siedmiu, które wychowałam z trudem, nieprawdaż moje dziecię? (ściska ją za rękę. Ludwika schyla głowę i ukrywa wykrzyk boleści).

Hrabina. Taka blada, i zdaje się być cierpiąca.

Frochard. Poczciwi ludzie litują się nad nią, a jak przychodzi do domu, otoczona jest staraniem i pieszczotami, nieprawdaż moja duszko?... (Sciska mocno rękę Ludwiki i mówi po cichu). Mówże!

Ludwika (z wysileniem). Tak, tak.

Hrabina. Masz, tu, daj to matce, i módl się za mnie.

Ludwika. Przyrzekłam to pani z całego serca (hrabina wsiada do lektyki, Jakób wchodzi z głębi).

Frochard (chwyta z ręki Ludwiki pieniądz dany jej przez hrabinę). Luidor! O dobry

dzień! Dalej moja mała, chodźmy! a śpiewaj głośno! (prowadzi Ludwikę w głąb. Ludwika śpiewa. Śnieg pada grubymi płatami).

Jakób (do Piotra, który zrobił za nim kilka kroków, uderzając go po ramieniu). Zostań ty, muszę z tobą pomówić.

Piotr. Cóż mi masz powiedzieć?

Jakób. Zabraniam ci iść za Ludwiką.

Piotr (drżący). Jakto? ty?

Jakób. Zabraniam ci myśleć o niej.

Piotr. Ja nie mam myśleć o Ludwice? A to dla czego Jakóbie, dla czego?

Jakób. Dlatego, abym ci nie połamał kości poczwaro! (mówiąc to kładzie rękę na ramieniu Piotra i zmusza go aby upadł na kolana).

Piotr (z wysileniem). Zabij mnie jeśli chcesz (na stronie). Ale nie zmusisz, i nie zabronisz mi kochać Ludwiki!

Zasłona spada.

AKT TRZECI.

Obraz Piąty.

(Pokój Henryki, drzwi w głębi, okna po prawej, w zagłębieniu na lewo łóżko, w części zakryte zasłoną. Mały stolik z robótkami, krzesła słomiane, lampa na kominku).

SCENA PIERWSZA.

Henryka (sama siedzi przy robocie przy stoliku. Trzy miesiące, już trzy miesiące upłynęło od owej i nieszczęśliwej chwili naszego rozłączenia. Roger przyrzekł zawiadomić mnie o skutku swoich poszukiwań. Dzień za dniem mija, a on nie przychodzi. On wie z jaką boleścią i niecierpliwością oczekuję wieści o Ludwice, i nie przychodzi!.. O, nadaremnie staram się kłamać... i wmawiać sobie... nie tylko dla tego oczekujesz jego przybycia, aby ci przyniósł wieści o twojej biednej Ludwice, nie tylko o słowa ci chodzi które z ust jego usłyszysz, ale pragniesz wyczytać w oczach jego myśli, których ci nie wyjawia!... (słyszy kroki za sceną). A to on! on! (stukanie do drzwi), (otwiera).

SCENA DRUGA.

Henryka — Roger.

Roger. Henryko! (bierze ją za ręce i patrzy na nią). Co pani jest?

Henryka Nic... nic!...

Roger. Jesteś wzruszona!

Henryka. Oczekiwałam pana!... (poprawia się). Oczekiwałam wiadomości, które mi pan przynosisz.

Roger. Nie jeszcze! lecz wkrótce zajmiemy się naszą biedną opuszczoną, ale dzisiaj Henryko, chciałbym pomówić o tobie... o mnie!

Henryka. Wiem, co mi pan możesz powiedzieć. Z narażeniem życia wyratowałeś mnie z nikczemnej zasadzki, później z całą szlachetnością ofierowałeś mi środki do życia, których mi brakowało.

Roger. A pani odmówiłaś chcąc wszystko zawdzięczać swej pracy.

Henryka. Czyż nie miałam słuszności? Znalazłam w tym domu poczciwą kobietę, która mi dostarcza więcej roboty, aniżeli mi potrzeba, ale wierz mi pan, że mimo to, czuję głęboką wdzięczność za to, co dla mnie uczyniłeś.

Roger. Czyż nie istnieje między nami żaden inny w zeł? Nie widzisz Henryko, co się dzieje w sercu mojem? Wczoraj jeszcze mogłem nakazać milczenie mojej miłości, dzisiaj muszę wypowiedzieć wszystko. Henryko, ja ciebie kocham! (Henryka opiera się

o poręcz krzesła). Lecz nie miłością przelotną, którąby ci ubliżyć mogła, kocham cię od chwili, w której cię ujrzałem drżącą i zrozpaczoną, a potem odważną i dumną, stojącą w obronie swojego honoru, prośbą, groźbą, i łzami! Kocham cię od tej chwili, w której usłyszałem pierwsze słowo z ust twoich, a miłość wzbudzona tym słowem, nie zginie, chyba z życiem mojem. Przysięgam na to u stóp twoich, wobec Boga, który nas widzi i słyszy! (Henryka przykłada rękę do serca).

Henryka (zaledwie mogąca mówić). O źle pan uczyniłeś. Czy podobna, abym ja oddawna nie odgadła tego, co serce ukryć usiłowało! Niestety, aż nadto myśl ta odrywała mnie od tego, co powinno stanowić jedyny cel mojego życia, ale nie trzeba było zmuszać mnie do tego wyznania.

Roger. Henryko!

Henryka. Trzeba było pojąć, że ja nie mam prawa oddawać się uczuciom i rozkoszom miłości, dopóki nie spełnione moje posłannictwo! Pozostaw mnie bym spełniła ten obowiązek święty, a gdy ujrzę Ludwikę w moich objęciach i będę miała prawo sama być szczęśliwą, wtedy, o! wtedy powtórz mi, że mnie kochasz, a milczeć ci nie każę! (podaje mu rękę).

Roger. Henryko! droga Henryko! (chwyta jej rękę i okrywa pocałunkami, w tej chwili stukanie do drzwi).

SCENA TRZECIA.

Ciż i Picard.

Picard (za sceną). Nie przeszkadzam?

Henryka. Ah!

Roger. Picard!

Picard. Ja sam, sam jeden proszę pana!

Roger. Czego chcesz? (do Henryki). To mój służący.

Picard. Tak proszę pani, Picard wierny i dyskretny Picard! (na stronie). Jakaś subretka, dobrze idzie, dobrze!

Roger. Mówże, czego chcesz?

Picard (tajemniczo). Mam panu udzielić pewnej ważnej wiadomości.

Henryka. Ja muszę odejść na chwilę, mam odnieść ten płaszczyk, (idzie ku drzwiom).

Picard (na stronie). Idzie zapewne do swojej pani, przystojna dziewczyna.

Roger (na stronie). Zobaczą się.

Henryka. Za chwilę (wychodzi).

Picard (przy drzwiach zaciera ręce). Pani na dole, subretka na górze, doskonale idzie.

SCENA CZWARTA.

Roger i Picard.

Roger. Jesteśmy sami. Wytłómaczże mi, z jakiego powodu ośmieliłeś się przyjść za mną aż tutaj?

Picard. Byłem tak nikczemnym, że pana śledziłem!

Roger. A ty ladaco!

Picard. Ladaco! wybornie! wracają dawne czasy!

Roger. Co mówisz?

Picard. Ladaco, to niedość dla mnie, ja chciałem pana porzucić, i prosiłem pańskiego wuja, aby mnie od pana odebrał, ale spostrzegłszy, że pan zmienił system i zwyczaje, że pan stałeś się napowrót...

Roger. Czym?

Picard. Szlachcicem w całym tego słowa znaczeniu.

Roger. Co to ma znaczyć głupcze?

Picard. Głupcze? doskonale, dawne zwyczaje wracają, jeszcze trochę, a wyrzuci mnie za drzwi.

Roger (namyśla się na stronie). Mój wuj wmięszany w tę sprawę, co to ma znaczyć?

Picard. To znaczy proszę pana, że pan hrabia mając w tym interes, aby znać nasze sprawki, polecił mi badać dokładnie.

Roger. Słowem szpiegujesz mnie?

Picard. Najformalniej. Szedłem za panem aż do drzwi tego domu, zatrzymałem się na chwilę przez dyskrecję, ale widząc że pan nie wychodzi, zacząłem szukać po całym domu, aż nareszcie dostałem się tutaj do pięknej subretki.

Roger. Subretki?

Picard. Bardzo ładna! i jeśli pani godna subretki,... to...

Roger (zgniewany). Milcz błaźnie! ani słowa więcej, bo...

Picard (nadstawia kark). Dobrze idzie, bę-

dzie już i kark w robocie (zobaczywszy że się już uspokoił). Nie, jeszcze nie wszystko w porządku.

Roger. Słuchaj, powróć do domu, i powiedz panu hrabiemu de Linieres, że śledziłeś mnie, i znalazłeś u osoby, którą kocham!

Picard. A raczej u jej sub...

Roger. U niej!

Picard. Jakto u niej? Więc to tutaj ta pani mieszka?

Roger. Powiedz także panu hrabiemu, że nikt inny żoną nie będzie moją, tylko ta dziewczyna.

Picard. Co? przepraszam pana... która?

Roger. Ta, która tu była przed chwilą.

Picard. Ta subretka?

Roger. Nędzniku!

Picard (nadstawia karku). No, no, no, proszę!

Roger (widząc otwierające się drzwi). Milcz, to ona!

SCENA PIĄTA.

Ciż i Henryka.

Henryka (wchodzi zalana łzami i pada na krzesło). Co za wstyd, mój Boże! co za wstyd! Nie zasłużyłam na taką obelgę.

Roger. Co się stało?

Henryka (wstaje). Wypędzają mnie z tego domu.

Roger. Wypędzają?... kto?... dla czego?...

Henryka. Bo utrzymują, że jestem pana...

Picard (na stronie). Aha! aha!

Roger. Moją panią! którą zawsze czciłem jak siostrę?

Picard. Siostrę? tego znów nie rozumiem.

Roger. Któż śmiał rozgłosić to oszczerstwo?

Henryka. Zapewne sąsiedzi, a właścicielka domu, która mnie przyjęła i dostarczała roboty, oświadczyła przy wszystkich, że nie może mnie mieć u siebie, bo ma dwie córki młode, a postępowanie moje jest skandaliczne!

Picard. Biedna dziewczyna! to niesprawiedliwość proszę pana!

Roger. Henryko! oszusz łzy i wznieś czoło, tak opuścisz ten dom, i mieszkać w moim domu!

Picard. Co?

Roger. A raczej w swoim własnym, bo wejdziesz doń wprowadzona przez swojego męża!

Picard. O! trochę się zagalopował!

Henryka. Ja żoną pana?... Nie, nie, to niepodobna!

Roger. Henryko!

Picard. Spodziewam się, że nie podobna! a nasza rodzina.

Henryka. Pojmuję całą szlachetność postępowania pana i dziękuję za nie serdecznie, ale pojmuję i to, jak wielką jest przestrzeń,

która nas dzieli; ona... wskazuje mi obowiązek, i odmawiam.

Roger. Odmawiasz?

Picard (z uznaniem). Bardzo ładnie powiedziała.

Roger. Odmawiasz Henryko? I sądzisz że poświęcasz tylko siebie? zapominasz o mnie, a tyś moją nadzieją, szczęściem, życiem!

Picard. I on ślicznie powiedział.

Henryka. Czyż mogę wejść do twojej rodziny wbrew jej woli, czyż mogę stać się dla niej przedmiotem nienawiści, a dla siebie powodem rozdwojenia, a może i prześladowania? Nie! nie — musimy się rozłączyć!

Roger. Przenigdy! Gdyby rodzina moja odmówiła zezwolenia, to potrafię się obejść bez niej. Czyż twój rozum nie równym memu tytułowi! Czyż twoja piękność, twoja niewinność, twoje cnoty nie mają tyle wartości, co mój majątek?

Picard. O! dziesięć razy więcej proszę pana (na stronie). Aj do djabła! i ja zaczynam galopować.

Roger. Picard, daj mi kapelusz i chodźmy.

Picard. Dobrze panie, chodźmy! (na stronie). Gotówbym ich natychmiast pożenić!

Roger. Henryko, biegnę zapewnić przyszłość naszą i szczęście.

Henryka. Żegnam pana!

Roger. O nie, nie odbieraj mi odwagi, której będę potrzebował, powiedz mi, do widzenia Henryko!

Henryka (podaje mu ręke i przymusza się do śmiechu).

Do widzenia. (Roger i Picard wychodzą).

SCENA SZÓSTA.

Henryka. O nie! już go więcej widzieć nie chcę! Nie odnowią tej bolesnej walki między moją miłością a obowiązkiem. Ta miłość nasza tak wzniosła, była tylko snem miłym, który niestety uczynił mnie występną o tak występną! bo miałam chwile radości i szczęścia, ale przebudzenie nie dało długo na siebie czekać, która szybkiem nadeszła krokiem, jestem znieważona, wypędzona z domu.

SCENA SIÓDMA.

Henryka i Hrabina.

Hrabina (otwierając drzwi). Czy zastałam pannę Henrykę.

Henryka (obraca się zdziwiona). Ja jestem.

Hrabina. Czy pozwolisz mi pani wejść i pomówić ze sobą na chwilę?

Henryka. Proszę panią....

Hrabina Polecono mi panią gorąco.

Henryka. Polecono mnie? nie rozumiem.

Hrabina. Należę do towarzystwa dobroczynności, a jeżeli się sprawdzi wszystko dobrze, co mi o pani mówiono, to mogłabym pani przyjść w pomoc.

Henryka. Ja nie jestem nieszczęśliwą (po-

prawia się). Lecz nie, źle się wyrażam, nie jestem ubogą, pracuję.

Hrabina (na stronie). Dobrze. (głośno). Więc nic dla ciebie uczynić nie mogę moje dziecie?

Henryka. Nie.... a raczej, tak pani.... przyjmuję twoją pomoc,.... nawet błagam o nią!

Hrabina. Mów otwarcie.

Henryka. Ale nie żądam od pani pieniędzy, jałmużny, tylko schronienia, gdziebym mogła żyć z daleka od ludzi, zdala od kłamstwa i oszczerstwa, a nadewszystko od niego...

Hrabina. Od niego?.... zapewne jaki młody człowiek, który ciebie kocha i ty jego panno Henryko!

Henryka (spuszcza oczy)

Hrabina (mówi dalej) Chcesz się od niego uwolnić, aby nie zostać jego ko....

Henryka (dumnie). Aby utrzymać moją odwagę, i nie zostać jego żoną?

Hrabina. Jego żoną!

Henryka. Proponował mi to przed chwilą.

Hrabina. I odmówiłaś?

Henryka. Odmówiłam.

Hrabina. Dobrze! Teraz jest moim obowiązkiem mówić otwarcie panno Henryko. Jestem krewną kawalera de Vandrey, jestem prawie matką jego, wiem o waszej miłości i wzi łam go nawet w obronę wobec mojego męża.

Henryka. Pani!

Hrabina. Ale zastanowiłam się głębiej, i powiadam ci panno Henryko, zamiar twój jest jedynym, jakibym ci doradzić mogła, bo

nie tylko rodzina, ale i wszechwładna wola króla, sprzeciwiałaby się temu związkowi.

Henryka. Zanim pani weszłaś, wytknęłam sobie drogę, drogę poświęcenia i obowiązku.

Hrabina. Wiem o tem, ale wiem i to, że jesteśmy bogaci i możni.

Henryka (podnosił głowę) Możni?...

Hrabina. I moglibyśmy się odwdzięczyć za twoją bezinteresowność panno Henryko.

Henryka. Odwdzięczyć?... o możesz pani... możesz zaraz... dziś nawet.

Hrabina. W jaki sposôb?

Henryka. Racz mnie pani posłuchać. Serce moje podzieliłam na dwie cz ści, jedna najczystsza, przysięgam pani, najświętsza i najwznioślejsza... należy do niego... drugą oddałam biednej ukochanej istocie, którą okrutnie ze mną rozłączono! Sama, opuszczona, błąka się teraz po ulicach Paryża! Rodzina pani jest możną, więc błagam, niech ją znajdą i mnie powrócą! a ja nakażę milczenie mojemu sercu, i wydrę zeń miłość... niech mi ją oddadzą, a zniknę stąd na zawsze. Pani, czy może żądam za wiele?

Hrabina. Nie, nie moje dziecię, przyrzekam ci pomoc moją i to natychmiast. Mów więc jej nazwisko, oznaki...

Henryka. Niestety! oznaki łatwe, ta nieszczęśliwa ma lat 16-cie i jest ślepą.

Hrabina. Ślepą?...

Henryka. Nazywa się Ludwika.

Hrabina. Ludwika! O to imię jest mi drogie... Bądź spokojną moje dziecię, poszukamy twojej siostry.

Henryka. Ona nie jest moją siostrą.

Hrabina. Nie jest?

Henryka. Nie pani, ale winnam jej przywiązanie rodzinne, bo ona moich rodziców i mnie uratowała od nędzy.

Hrabina. Cóż ta biedna ślepa mogła dla was uczynić?

Henryka. Mój ojciec znalazł ją na schodach kościoła.

Hrabina. A!... więc to biedne dziecię znalezione!... Opowiedzże mi wszystko!... Wspomniałaś, że ona uratowała was od nędzy...

Henryka. Od nędzy tak okropnej, tak strasznej, że mój ojciec nie miał już kawałka chleba dla matki, a moja matka osłabiona wskutek cierpień i głodu, nie miała już ani kropli mleka dla swojego dziecięcia! Chcąc uratować przynajmniej córkę, ojciec mój powziął bolesny zamiar powierzenia jej opiece publicznej. Wziął mnie, gdy matka spała i niósł ku kościołowi Notre-Dame; zima była ostra, śnieg pokrywał schody kościoła, a nieszczęśliwy mój ojciec zatrzymał się i wykrzyknął ze łzami... Czy będę miał odwagę zostawić ją tutaj? W tem o kilka kroków usłyszał jęk bolesny, zbliża się zrozpaczony i spostrzega biedne maleństwo w kołysce pokrytej w połowie śniegiem, z twarzyczką i rączkami zsiniałemi od zimna!... Ona umrze, rzekł mój ojciec, i począł rozgrzewać biedne dziecię. Po chwili przyszła mu myśl nowa. Tak jak to biedne dziecię, tak i moja córka zginie, zanim się znajdzie litościwa

dusza! O nie opuszczę ani jednej ani drugiej, i ten, który chwiejąc się wyniósł z domu jedno dziecię, powrócił silnym krokiem z dwojgiem na ramieniu.

Hrabina. Ale owa pomoc niespodziewana, którą wam przyniosło to dziecię?

Henryka. Powróciwszy do domu, rzekł ojciec do matki: Żono, mieliśmy tylko jedno dziecię, a to zapewne niedostateczne, aby się nieba nad nami zlitowały, ale teraz jesteśmy godniejszymi litości Boga, bo mamy dwie córeczki zamiast jednej. A gdy dla ogrzania dziecięcia wyjęto je z kołyski...

Hrabina. Co się stało?

Henryka. Wypadły dwa rulony złota, i papier z temi słowami: Ludwika, kochajcie ją! (podczas ostatnich słów hrabina podnosiła się powoli).

Hrabina (z głuchym wykrzykiem). Ach!

Henryka (patrząc na nią ze zdziwieniem, nie mogąc sobie zdać sprawy). Co jest pani?

Hrabina (głosem który pragnie uspokoić). Nic... nic mi nie jest... to... to rozczulające zdarzenie wzruszyło mnie... Biedne, opuszczone dziecko! dostało się w ręce poczciwych ludzi!... Ale mów dalej moje dziecię... mów, mów!

Henryka. O jak my ją wszyscy kochaliśmy!

Hrabina. Poczciwe serca! Pojmuję, że Roger ciebie kocha moje dziecię! (obejmuje ją). I ja kochać cię będę!... (całuje ją). I już cię kocham! (całuje ją czule).

Henryka. Więc pani dopomożesz mi w jej odszukaniu?

Hrabina. Czy ci dopomogę? Ach mój Boże!... ślepa! ale któż się stał powodem tego okropnego nieszczęścia?

Henryka. A tak okropne... to straszne wspomnienie mam ciągle na myśli. Było to... (słychać w oddaleniu jak gdyby echo głosu Ludwiki. Henryka z uchem zwróconem w tą stronę). Było to... wieczorem... lat temu mniej więcej... dwa...

Hrabina. Dwa lata...

Henryka. Tak, dwa lata... Ludwika miała wówczas...

Hrabina. Dokończ!

Henryka (podnosi głos stopniowo). Ludwika miała wówczas... lat 14-cie... (głos zbliża się znowu). Bawiliśmy się... (głos słychać silnie). (Henryka z wykrzykiem). Ach!

Hrabina. Co tobie?

Henryka. To ona! to ona!.

Hrabina Ona! ta biedna mała żebraczka... którą spotkałam, która...

Henryka. Ha! biegnijmy!

Hrabina. Prędzej! prędzej! (hrabia wchodzi).

SCENA ÓSMA.

Ciż, De Linieres, Oficer i Policja.

Hrabina. Mój mąż!

Henryka. Panowie! puście mnie! błagam was, nie zatrzymujcie mnie!

Linieres. Wykonajcie wasz obowiązek!

Henryka. Na Boga! Panie rozkaż aby mnie przepuszczono! Ach Boże mój! jej głos się oddala... Przez litość, wysłuchaj mnie panie, bo znowu utracę!

Linieres. Wziąć tę dziewczynę do więzienia!

Henryka. A! do więzienia... ja? cóżem uczyniła?... A zresztą mniejsza o to... wtrąćcie mnie do więzienia, zabijcie jeśli wam się podoba... ale potem... potem... gdy ją zobaczę panie, gdy ją uratuję!

Linieres. No dalej!

Henryka. Ha!

Hrabina. O! to ja przynajmniej.

Linieres. Zostań pani, i chciej mi powiedzieć co ją tu sprowadza?

Hrabina. Później hrabio powiem ci wszystko, ale teraz pozwól mi wyjść, aby ją zobaczyła.

Linieres. O kim pani mówisz?

Hrabina. O kim?

Linieres. Dokończ pani!

Hrabina (patrzy na groźną twarz męża, z wykrzykiem). Ach! (pada odrętwiała na krzesło).

Głos Ludwiki (słychać bardzo daleko).

Zasłona spada.

Obraz Szósty.

Więzienie Salpetziere.

(Dziedziniec z drzewami bez liści, otoczony murem, za którym widać szczyt kościoła, w głębi brama kratowa prowadząca do głównego dziedzińca, w pierwszej kulisie infirmerja, naprzeciw wejście do sypialni).

SCENA PIERWSZA.

Marja, Floretta, Julja. Kobiety uwięzione. Zakonnice. Nadzorczynie, potem siostra Genowefa.

(Kobiety uwięzione przechadzają się, niektóre siedzą przy robocie, inne siedzą samotnie i płaczą. Nadzorczynie chodzą i czytają modlitwy).

Marja. Gdy wyjdziesz z więzienia, zapłacisz dług ludziom, gdy uczujesz żal, wypłacisz dług Bogu, mówiły do mnie te młode dziewczęta. Ja czuję żal... a kiedyż nadejdzie dzień, w którym będę wolną?

Floretta. Ach! jakaż ja nieszczęśliwa?

Marja (powstaje i idzie do niej). Nie martw się nadto.

Floretta (łkając). Nie potrafię nigdy przyzwyczajić się do podobnego życia.

Marja. Spróbuj pracować, praca rozrywa, pociesza i sprowadza zapomnienie.

Floretta. Pracować?... To grube płótno, i te grube nici, kaleczą mi palce.

Marja. Delikatne ręce twoje nie przyzwyczajone do ciężkiej pracy ubogich.
Floretta. O nie, życie mi płynęło lekko i przyjemnie.
Julja. I mnie także.
Marja. Odmiennemi chodziłyśmy drogami.
Floretta. Ja miałam jedwabie i aksamity.
Julja. I ja także.
Marja. Ja w jednej wełnianej sukience chodziłam w zimie i w lecie.
Floretta. Ja zawsze jeździłam powozem.
Julja. Ja także.
Marja. Ja zawsze chodziłam pieszo szukać roboty.
Floretta. Rój wielbicieli tracił majątki, aby mi się przypodobać, a na wszystkich możliwych festynach byłam zawsze królową.
Marja. Ja pracowałam dzień i noc dla człowieka, który mnie bił i zmusił do popełnienia występku!
Floretta. A ze wszystkich tych zbytków...
Marja. Z całej tej nędzy...
Floretta. Co nam pozostało?... rozpacz!
Marja. Żal!
Julja. Więzienie.
Floretta. No, więzienie, do tego możnaby się w końcu przyzwyczaić, ale co jest ohydne, przerażające, to widzieć się w tak szkaradnym ubraniu.
Marja. Zapewne, że strój niepodobny do twoich dawniejszych.
Floretta. A ta zupa podana w drewnianym naczyniu...
Marja. Przyzwyczaić się do tego.

Floretta. A kiedyś jeszcze może nas wrzucą do tak szkaradnego powozu, jak wczoraj odjechał wśród obelżywych krzyków tłumu.

Marja. Wygnanie przeraża cię?

Floretta. Naturalnie! Najpierw sama podróż dwa miesiące na morzu i w jakim towarzystwie! a potem ta pustynia na końcu świata pomiędzy wężami i tygrysami, dla mnie co potrafię zemdleć na widok tygrysa.

Marja. Mnie to nie przeraża. Byłabym daleko od wszelkich pokus, które mnie zgubiły, są tam przecież zakłady, gospodarstwa, znalazłabym sposobność do pracy.

Floretta. Ależ to okropne takie życie! Wprawdzie zapewniają, że tam można wyjść za mąż...

Julja. I ja słyszałam.

Floretta. Tem lepiej! znajdzie się przynajmniej ktoś, na kim będzie można się zemścić.

Marja. A może ciebie nie wywiozą, okaż się uległą, skruszoną, a przełożona weźmie cię w opiekę.

Floretta (wskazuje Genowefę). Oto właśnie nadchodzi.

Marja. Pielęgnowała chorych, a teraz przychodzi pocieszać zasmuconych.

Siostra Genowefa (zbliża się do kobiet, które płaczą i rozmawia do nich).

Floretta. Na kobietę tak cnotliwą, nie ma wcale złej miny.

Marja. O ileż to ja jej zawdzięczam? Gdy mnie tutaj przyprowadzono, siostra Genowefa zlitowała się nad mojem cierpieniem,

wspierała mnie radą, dodawała odwagi, a słowa jej były tak łagodne, tak lube, że rozbudzały stopniowo uczucie we mnie, które miałam już za stracone na zawsze, i nadzieja i wiara wstępowała we mnie! (wskazuje na zakonnicę). Gdy widzę tę kobietę tak czystą, tak pobłażliwą i modlącą się co wieczora na kl czkach jak grzesznicę, ją pełną cnót, myślę nieraz; czegóż ja spodziewać się mogę? ja tak występna!

Floretta. A ja?

Marja. Teraz wiem, że można oczyścić swą przeszłość, a każdy dobry uczynek może się stać okupem błędu.

Floretta (z westchnieniem). Ach, ileż ja potrzebowałabym tych dobrych uczynków, nie mogę żyć tak długo, aby one zrównoważyły błędy moje, (otwierają bramę, doktór wchodzi).

SCENA DRUGA.

Ciż i Doktór.

Genowefa (idzie do doktora). Ach doktorze, z jakąż niecierpliwością oczekiwałam pana.

Doktór. Przecież nie spóźniłem się. (patrząc na zegarek).

Genowefa. Pozwoliłeś mi mieć nadzieję, że gdy przyjdziesz dziś rano...

Doktór. Przyniosą...

Genowefa. Dobrą nowinę.

Doktór. I stąd to wzruszenie, ta niecierpliwość?

Genowefa. Doktorze tu chodzi o los nieszczęśliwej!

Doktór. O wiem, że pani byłabyś o wiele spokojniejszą, gdyby chodziło o ciebie samą.

Genowefa. I cóż?

Doktór. Porobiłem wszystkie potrzebne kroki, opowiedziałem, jak bardzo interesujesz się pani tą biedną grzesznicą, jak ona jest skruszoną, uległą, i nawet dodałem cokolwiek zalet z mojej strony.

Genowefa. To źle doktorze, należało powiedzieć tylko prawdę.

Doktór. Uczyniłem to dla uratowania protegowania pani.

Genowefa. Prawda przedewszystkiem, i nadewszystko; ale dokończże proszę!

Doktór. Więc podziękuj mi pani.

Genowefa. Udało się panu?

Doktór. Najzupełniej.

Genowefa. A Bogu dzięki! Pójdź teraz tu moje dziecię, oto nasz kochany doktór, dowiedz się od niego samego, co dla ciebie uczynił.

Marja. Dla mnie?

Doktór. Tak, ale przedewszystkim trzeba podzię ować siostrze Genowefie, ona to, widząc twój żal, powzięła myśl proszenia o twoje uwolnienie moje dziecię, a ja ci je przynoszę, (oddaje papier Genowefie).

Marja. Moja dobrodziejko! Matko moja (Wszystkie kobiety zbliżają się i słuchają).

Genowefa (wymawia się bardzo wzruszona). To on porobił wszelkie starania.

Doktór. Ale uczyniono zadość prośbie dla siostry Genowefy, dla tej czcigodnej kobiety! ona to od tylu lat nie wyszła za progi tego więzienia, które uczyniła swoją ojczyzną, a wszystkich cierpiących swoją rodziną, dla ciebie pocieszycielko strapionych i skruszonych grzeszników, ciebie wszyscy tu szanują, czcą, i kochają. (Wszyscy cisną się koło niej, patrząc na kobiety, które całują po rękach Genowefę).

(Dzwonienie).

Genowefa. Oto godzina powrotu ze spaceru, (do Marji). Idź moje dziecię dziś wieczorem będziesz wolną, nie zapominaj więc że zaręczyłam za ciebie. Świat przysłał mi występną, ja mu zwracam uczciwą dziewczynę, nieprawdaż Marjo!

Marja. Spodziewam się i wierzę w to moja matko (hałas w infirmerji).

Henryka (za sceną). Puśćcie mnie, puśćcie!

Genowefa (zbliża się ku drzwiom). Te krzyki! Co tam się dzieje?

Doktór. Jakaś niespokojna chora, idę zrobić porządek.

Genowefa. Czekaj doktorze, to owa młoda dziewczyna, którą przyprowadzono przed dwoma dniami.

Doktór. A którą przytrzymano z powodu napadu obłąkania.

Henryka (staje w progu pomimo powstrzymywań nadzorczyń, które odtrąca).

SCENA TRZECIA.

Ciż i Henryka.

Henryka. Nie wstrzymujcie mnie! ja chcę wyjść!

Marja. Boże! wszak to...

Henryka (biegnie do Genowefy). O pani, jeżeli pani masz tutaj prawo rozkazywać, każ mnie uwolnić, błagam cię na kolanach!

Marja (na stronie). Nie mylę się, to ona!

Genowefa (łagodnie). Uspokój się moje dziecię, byłaś chorą.

Doktór. Dla czego bez mego pozwolenia wyszłaś ze sali?

Henryka. A! poznaję pana! to pan mnie opatrywałeś?...

Doktór. Tak biedne dziecię, i nie mogę pozwolić...

Henryka. O, ja jestem już wyleczoną, nie cierpię wcale, skorzystałam z chwili, w której nie zwracano na mnie uwagi i przebrałam się w moje suknie, ale jestem zupełnie przytomną, a ponieważ to od pana zależy, dlatego błagam cię, rozkaż, aby mnie uwolniono!

Doktór. Niepodobna! trzeba na to wyższej władzy, aniżeli moja.

Henryka. Więc ja jestem w szpitalu?

Doktór. Ten szpital jest zarazem więzieniem.

Henryka. Więzieniem! A, przypominam sobie! O Boże mój Boże! cóż ja zawiniłam że mnie taki cios dotyka? (pada na ławkę i płacze).

Doktór (bardzo wzruszony do Genowefy). Tę kurację może pani sama przesięwziąść. (Doktór odchodzi do infermenrji).

SCENA CZWARTA.

Henryka, Genowefa, Marja potym Picard.

Genowefa. Widziałam już wiele grzesznic, ale ta...

Marja. Ona nią nie jest, moja matko.

Genowefa. Znasz ją?

Marja. Mówiłam ci matko, że w chwili rozpaczy chciałam odebrać sobie życie.

Genowefa. Przypominam sobie.

Marja. Dwie młode panienki, anioły cnoty i litości nie dopuściły, abym miarki błędów moich dopełniła zbrodnią.

Genowefa. Dopomogły ci według słabych sił swoich i wzmocniły słowem wiary i nadziei.

Marja. Oto jest jedna z nich, matko.

Genowefa. I tutaj ją spotykasz?

Marja. Nieszczęście mogło ją dosięgnąć, lecz pewna jestem, że nie splamiła się żadnym występkiem.

Genowefa (do Henryki). Nabierz odwagi, moje dziecię!

Marja. Spojrzyj panie na mnie i poznaj. Pewnego wieczora... niedaleko rzeki, pewna kobieta, która umrzeć chciała...

Henryka. A przypominam: poznaję cię... (z rozpaczą). Ach wówczas było nas dwie!... Widziałaś biedną siostrę moją?

Marja. Właśnie odpowiadałam pani... taki onioł jak ty... bo pewnie nie masz nic do wyrzucenia.

Henryka (do Genowefy). O tak pani!... jestem niewinną... świadczę się przed Bogiem! przysięgam!

Genowefa. Nie przysięgaj się, moje dziecię, wierzę ci, nie dopuściłaś się karygodnego kłamstwa, tego szkaradnego grzechu, który poniża człowieka i obraża Boga!

Henryka. Nie, nie.

Genowefa. Ale z jakiegoż powodu i na czyj rozkaz przyprowadzono cię tutaj?

Picard (zbliża się). Na rozkaz pana hrabiego de Linieres.

Genowefa. Kto pan jesteś, i jak wszedłeś do tego domu?

Picard (poważnie). Kamerdyner Jego Excellencji Naczelnika Policji!

Genowefa. I to wskutek jego rozkazu ta młoda dziewczyna?...

Picard. Niestety! wysokie stanowisko zmusza często do wielu smutnych konieczności! Jeżeli młody szlachetnie urodzony człowiek zakocha się w dziewczynie, naturalnie ładnej, nawet uczciwej, natenczas trzeba czuwać nad honorem znakomitego domu, i usunąć przedmiot... tej występnej miłości.

Henryka. Wszak odmówiłam, nawet w twojej obecności ręki kawalera de Vandrey.

Picard. To prawda, muszę przyznać.

Genowefa. O biedne dziecię, i wtrącają ją tutaj jak istotę występną?

Picard. To poświęcenie nie jest dostate-

czne, i pani sama to pojmiesz, jeżeli pani przełożona pozwoli bym panią zawiadomił o woli pana naczelnika policji.

Genowefa. Pozwalam! (do Henryki). Odwagi moje dziecię, odwagi!

Genowefa i Marja (wychodzą).

SCENA PIĄTA

Henryka i Picard.

Henryka. Jesteśmy sami, cóż mi masz powiedzieć?.... Jakież nowe nieszcz ście przychodzi mi zapowiedzieć ten, którego miałam za wiernego sługę swojego pana, a który przychodzi zapewne po to tylko, ażeby go zdradzić!

Picard. Tak, tak, proszę pani, mów pani śmiało! Służę u szlachetnego pana, płaci mi dobrze, a ja kradnę te pieniądze, które on mi daje. On mi ufa, a ja zdradzam go podle! Wszystko to prawda proszę pani, ale z tym dodatkiem, że tą osobą która mi płaci, a którą ja zdradzam, jest pan naczelnik policji.

Henryka. Czy podobna?

Picard. Osobę zaś, którą kocham i służę jest pan de Vandrey, a właściwie nawet nie on, tylko ta którą szanuję i chciałbym uratować to jest pani!

Henryka. Ja?

Picard. Tak, pani pomieszałaś mi moje wszystkie plany, wszystkie moje zasady polityczne i filantr-pijne.

Henryka. A on Roger?

Picard. Odmawia ciągle posłuszeństwa swemu wujowi, a od wczoraj...

Henryka. Cóż?...

Picard. W Bastylji (z przesadą) O, ta Bastylja to zabytek tyranji!

Henryka. Także w więzieniu?

Picard. Lecz w chwili uwięzienia udało mi się wysłuchać jego poleceń. Naprzód kazał mi przysiądz, że pójdę do pani i powiem że on jest gotów znieść wszelkie możliwe prześladowania, a nie wyrzeknie się swojej miłości, a gdyby przyszło do tego, żeby panią wywieźli...

Henryka (przerażona). Wywieźli?... Ah? toby była śmierć moja?

Picard. Czekaj pani, czekaj, o tym postanowieniu będziemy naprzód zawiadomieni. Mój prawdziwy pan przekupuje ludzi mego umniemanego pana, jeżeli by się zaś przeupić nie dali, to jest gdybyśmy nie mieli na to dość pieniędzy, natenczas puszczamy się wraz z panią na wygnanie! Bo my szlachta zawsześmy tacy!

Henryka. Mówisz mi o szczęściu!... A ona, a moja Ludwika?... kto jej odszuka? kto jej poda pomocną rękę?

Picard. A ja od czego? czy mam założyć rękę bezczynnie? Czyż nie należę do policji? Bądź pani spokojną! nie dręcz się daremnie, ja wszystko przygotuję na czas, a potem jak zechcą mi ściąć głowę, jestem na to przygotowany! (Policja wchodzi głębią).

Henryka (przerażona). Boże!

Picard. Aj! czy już może przychodzą po moją głowę?

SCENA SZÓSTA.

Ciż, Marest, Policja, Doktór, Genowefa, Marja.

(Otwierają bramę, Marest ustawia swoich agentów na dziedzińcu w głębi.)

Genowefa (wychodzi z infirmerji). Ach! Doktorze! znowu porwą mi kilka nieszczęśliwych ofiar!

Doktór. Wywiozą pewnie najbardziej winne.

Genowefa. Najbardziej pożałowania godne.

Marest (zbliża się). Oto rozkaz wielebna siostro, i lista uwięzionych, przeznaczonych do wywiezienia dziś wieczór. Jeżeli pani pozwoli, każę wejść uwięzionym, a potem musimy porównać razem listę z osobami.

Genowefa. Proszę, zaraz przyjdę za panem. (Marest kłania się i wychodzi). Ta lista, ta okropna lista. (czyta i wydaje krzyk patrząc na Henrykę). A!

Henryka (przerażona). Pani! dlaczego tak patrzysz na mnie? Mów przez litość!

Genowefa. Biedne dziecię moje!

Henryka. Więc jestem skazaną? zgubioną?

Picard (cicho). Pani?... czy podobna... już?...

Genowefa (głosem wzruszonym wskazując imię napisane). Henryka Gerard.

Henryka. Ach! (chwieje i pada w ramiona Marji i doktora, którzy ją odprowadzają do ławki).

Genowefa (wychodząc) Biedne dziewczę!

Picard. O łotr z mojego mniemanego pana! ukrył to przedemną! Był tak nie delikatny, że nie dowierzał mojej wierności! O! zapłaci mi za to! zapłaci! (wychodzi).

SCENA SIÓDMA.

Ciż bez Picarda.

Henryka (bierze Marję za rękę). O teraz wierzę że można pragnąć śmierci!

Marja. Nie mów tak, pamiętaj o swoich własnych słowach zwróconych do mnie.

Doktór. Jeżeli masz rodzinę, pomyśl o niej.

Henryka. O panie! wygnanie nie przeraża mnie, dla mnie samej, nie moje nieszczęście pogrąża mnie w rozpaczy.

Marja. Ona ma siostrę, której jedyną była podporą, siostrę ślepą...

Henryka. Znalazłam ją właśnie w chwili gdy mnie przytrzymano, słyszałam jej głos, poznałam ją, okrytą łachmanami, żebrała śpiewając, a piękne jej włosy spadały w nieładzie na ramiona, szła złamana cierpieniem, ciągnęła ją szkaradna kobieta, która ją pewnie dręczy... a oni nie pozwolili mi pobiedz do niej... i straciłam ją znowu, a tym razem straciłam na zawsze! (płacze).

Doktór (przypominając sobie). Czekajno,

czekaj moje dziecię, zdaje mi się, że ją spotkałem.

Henryka. Pan?

Doktór. Ta stara kobieta nazywała ją Ludwiką...

Henryka. To ona!... Więc pan ją także widziałeś?

Doktór. I znam nawet tę kobietę, ktora ją prowadziła... ona nieraz była w moim szpitalu... nazywa się Frochard.

Marja. Matka Jakóba!... O, teraz wiemy gdzie jej szukać, wdowa Frochard mieszka przy ulicy de l'Ursine.

Henryka. Więc znaleziona nareszcie! — spieszmy! (przypomina sobie wykrzykiem). O ja nieszczęśliwa! Ja muszę odjechać!

Marja. Nie, nie możesz odjechać!

Doktór. Co ona mówi?

Henryka (w rozpaczy). Nie mogę odjechać?... Patrzcie na ten powóz który nadjeżdża! (z płaczem). O moja Ludwiko! moja biedna Ludwiko!

Marja. Powtarzam, że nie wyjedziesz!

Henryka. Jakto?

Marja. Milczenie.

Doktór. Ależ to niepodobna!

Marja (cicho). Doktorze, miej litość nademną i nad nią, chciej mi dopomódz.

Doktór. Lecz jakim sposobem? (Pauza).

Marest (powraca i patrzy na listę). Rzeczywiście, pozostaje jeszcze tylko Henryka Gerard.

Marja (występuje). To ja jestem.

Henryka. A!

Doktór (chwyta ją za rękę). Milcz!

Marja (do Maresta). Pozwól pan! (wskazując na Henrykę), abym się pożegnała.

Henryka (cicho). Nie, nie, ja nie chcę, nie pozwolę!

Marja (cicho). Ja nie ciebie wybawiam Henryko tylko siebie samą.

Heryka. Siebie?

Marja. Gdybym została, spotkałabym się z Jakóbem, byłabym zgubioną na zawsze, ty przeciwnie, odzyskasz siostrę i będziecie szczęśliwe obydwie.

Henryka. O Ludwiko!

Marja. Weź to! (oddaje Henryce papier przyniesiony przez doktora. Henryka waha się i patrzy na doktora).

Doktór. Weź, to twoje uwolnienie.

Marja. Zbawienie Ludwiki!

Henryka (bierze i całuje Marję z płaczem w rękę).

SCENA ÓSMA.

Ciż i Genowefa.

Doktór. Siostra Genowefa! Ah!

Marest. Racz pani sprawdzić wraz ze mną tę listę, dla przekonania się czy rzeczywiście są w onej wszystkie osoby przeznaczone do wywiezienia.

Marja (cicho). Ah!

Doktór. Wszystko stracone!

Henryka (spuszcza głowę) Bóg nie chciał.

Genowefa. Chciej pan rozpocząć.

Marest (wywołując). Franciszka Morand.

Genowefa (patrzy na obok stojącą). Jest.

Marest. Joanna Raymond!

Genowefa. Jest.

Marest (obraca się do Marji). Gerard Henryka!

Marya (drżąca). Jestem!

Genowefa. Ty? (Doktór śpieszy do Genowefy, wskazuje jej Henrykę z miną błagającą. Genowefa gwałtownie wzruszona, spogląda na jedną i na drugą stronę).

Marja. Miej litość matko (klęka). Pobłogosław mnie! Ten wyjazd maże moje winy, i ratuje nieszczęśliwą!

Genowefa (wyciąga ręce nad głową Marji i silnym głosem wznosząc oczy w górę). Tak!

Marja i Henryka (rzucają się sobie w objęcia z płaczem). Ach!

Genowefa (podnosi Marję, otwiera jej z płaczem ramiona, Marja rzuca się w jej objęcia potym odchodzi). Ah! Doktorze, to pierwsze kłamstwo w mojem życiu!

Doktór. Ono ci będzie policzone w niebiesiech wielebna matko, jako czyn najwznioślejszy!

Zasłona spada.

AKT CZWARTY.

Obraz Siódmy.

U Frochard.

(Pokój z najnędzniejszą powierzchownością. W głębi w kącie nędzne posłanie Frochardowej zakryte w części starym szalem zarzuconym na sznurku, drzwi na zewnątrz, na prawo okno i małe schodki prowadzące na strych, od którego drzwi odchylone. Na lewo w kącie stary kredens, pod ścianą trochę słomy i kołdra z gałganów, mały stolik, stary podarty fotel, piec, rynka, i kamień szlifierski czyli warsztat Piotra).

SCENA PIERWSZA.

Piotr i Ludwika.

(Ludwika leży na słomie, Piotr siedzi przy niej na stołku, patrzy na śpiącą).

Piotr. Tak młoda, tak piękna i wątła, i oto patrzcie, co z niej zrobili! Biedne cierpiące, opuszczone stworzenie! Gdy powróci po ciężkiej pracy, i cóż tu zastaje? trochę słomy w kącie na wypoczynek, a ma się za szczęśliwą, jeżeli jej na noc nie zamkną na strychu, gdzie za wejściem śmiertelny mróz człowieka przenika! A ja patrzę na to wszystko, i zapobiedz temu nie mogę!... (wstaje i zbliża się do Ludwiki). Drży cała,... i oddycha tak gwałtownie... Cierpi zapewne.

Ludwika (podnosi się w połowie). Kto tu jest?

Piotr. Ja panno Ludwiko, Piotr.

Ludwika. Więc mogę jeszcze spać chwilkę?

Piotr. Bądź panienka spokojna, ja stąd nie odejdę.

Ludwika. Jestem tak zmęczona... Dziękuję ci Piotrze, dziękuję!

Piotr (patrzy na nią przez chwilę w milczeniu). Sen bardzo miły, gdy jest nieszczęśliwym... Trochę się uspokoiła... może śni o swej szczęśliwej przeszłości... o tych których kochała, i którzy ją kochać musieli! (oddala się od niej). Zabraniam ci myśleć o niej, powiedział mi Jakób... a gdy to mówił, było coś w jego głosie i wzroku, co mnie dreszczem przejęło... a chociaż słaby jestem, nie drżałem o siebie, tylko o nią!... o gdybym ja mógł nakłonić aby się stąd wydobyła. Myślałem już nad tym, gdy raz płakała tam na strychu, porobiłem już nawet przygotowania, odśrubowałem zamek na strychu, ale myśl, że jej nie zobaczę jest równie bolesną, jak widok jej cierpienia! (z siłą). Tak, wolę nawet patrzeć na jej łzy, byle została tutaj!

SCENA DRUGA.

Ciż, Frochard potym Jakób.

Frochard. A jesteś tutaj! Dlaczegóż to powróciłeś tak wcześnie? czy nie było już roboty?

Piotr (zbliża się do swego kamienia). Przyniosłem sobie robotę do domu aby nie marznąć.

Frochard. I być bliżej tej panny? Ale ty wiesz, że ja mam na was oko!

Piotr. A Jakóbowi nie mówicie tego matko?

Frochard. Jakób jest starszy, robi co chce, i jest tutaj panem.

Piotr. Gdzież on się dzisiaj obraca?

Frochard. Pracuje.

Piotr. Doprawdy?

Frochard. U garbarza naprzeciwko, w tym tygodniu już drugi dzień pracuje, on taki piękny mężczyzna a pracuje.

Piotr. Czyż ja nie pracuję codziennie?

Frochard. A cóżbyś innego mógł robić z taką postacią?

Jakób (wchodzi). No, dosyć już tego, robota mnię dzisiaj nudzi.

Frochard. Powiedz że cię nadto utrudza moje dziecko.

Jakób. To prawda! A jesteś tu kupidynku! musisz mi wyostrzyć kordelas, zostawiłem go tam naprzeciwko, idź i przynieś.

Piotr. Dobrze, zaraz pójdę!

Jakób (patrzy na śpiącą Ludwikę). Cóż to dzisiaj nic ze śpiewania?

Frochard. Ha! skoro śpiewaczka traci czas na spaniu, przepadają dochody.

Jakób (zbliża się do Ludwiki). Patrzcie no, myślałby kto że ona płacze przez sen.

Piotr. Płacze?

Jakób (zatrzymuje go). I cóż z tego?

Frochard. To próżniaczka harda, dziś rano musiałam ją ciągnąć przemocą, bo iść nie chciała, a o śpiewie ani myśleć.

Jakób. Nauczę ja ją śpiewać!

Piotr. Jakóbie, zabijesz ją, ona chora, przed chwilą miała ogromną gorączkę.

Frochard. Udaje, udaje!

Piotr (zbliża się do nich). Ja wam powiem co jej jest, pamiętacie matko wtenczas w wieczór, jak skończywszy śpiew zaczęła wołać: Henryko, siostro moja!

Frochard. Zabroniłam jej.

Piotr. A chcąc ją zmusić do milczenia ściśnęliście jej matko tak silnie rękę, że o małoście nie złamali.

Frochard. Niech się nauczy słuchać.

Piotr. Rękę ma jeszcze zsiniałą, i od tego czasu niszczy ją zgryzota. Powiadam wam, wy ją zabijecie!

Frochard. Ja nie potrzebuję żywić próżniaków! albo niech pracuje albo...

Jakób. Albo ja muszę się w to wmięszać.

Piotr. Ty?... co myślisz uczynić?

Jakób. To moja rzecz!

Frochard. No, wstawaj próżniaczko, legantko! Trzeba się wybierać! a naprzód pomyśleć o toalecie. Rozpuść no te włosy (ściąga z niej chustkę). Chustki nie trzeba, bo ci nadto ciepło, i nie możesz naturalnie udawać drżenia od zimna, (owija ją sama chustką).

Piotr (na stronie). I to się nazywa myśleć o toalecie.

Ludwika (zimno). Ja już więcej nie pójdę!

Frochard (do Jakóba). Słyszysz? ona nie chce iść.

Jakób. Dobrze, dobrze! zaraz zobaczymy, (idzie do niej i bierze ją za rękę). Chodźno tutaj moja panno!

Ludwika (cofa się szorstko). Zabraniam ci dotykać się mnie!

Jakób (ironicznie). Więc nie jesteśmy już przyjaciółmi?

Frochard. Przecież byłaś bardzo szczęśliwą, żeś nas spotkała owego wieczora zostawszy sama na ulicy.

Ludwika. O tak, owego wieczora byłam ci wdzięczną za przytułek! Powiedziałaś mi, że szukać będziemy siostry mojej, a ja błogosławiłam ci z głębi serca! lecz gdym spostrzegła, że nie przez litość, ale przez ohydne wyrachowanie podałaś mi rękę, gdym się przekonała, że czynisz ze mnie podłą żebraczkę, że mnie dręczysz, łamiesz mi ręce, gdy wołam siostry mojej, której szukać mi przyrzekłeś, o wtedy oburzyła się cała moja dusza! i chociaż znękaną jestem i słabą, wola moja silniejszą będzie od gróźb twoich, od tortur twoich (prostuje się) i powtarzam ci żebrać nie będę!

Piotr (z przestrachem). Ludwiko!

Jakób (z uwielbieniem). Jaka ona teraz piękna!

Frochard. Ale jeść chcesz zawsze?

Ludwika. Jestem gotowa umrzeć!

Piotr (cicho do matki). Słyszycie, ona się głodem zamorzy!

Frochard. Głupstwa! Będzie ona prosiła o przebaczenie!

Ludwika. Nigdy.

Frochard. Zobaczymy, tymczasem idź na strych!

Ludwika (silnie). Dobrze, lecz wyjdę stamtąd wolną, lub umrę!

Piotr (z boleścią). Umrze!

Jakób. Do pioruna! to mi prawdziwa kobieta! Wiesz co, rozczulasz mnie, (chwyta ją gwałtownie i całuje).

Ludwika (z wykrzykiem). Ach! (Wyrywa się).

Piotr (z gniewem). Jakóbie!

Jakób (groźnie). Co to jest?... ty?... jeśli ci się nie podoba, to broń ją!

Piotr (patrzy nań z gniewem). Ja... Ja Ja mam... (zakrywa twarz rękami). O, jakiż ja nikczemny! (płacze).

Frochard (do Ludwiki). No prędzej na strych!

Jakób (namyśla się). Dobrze matko! wyprowadź ją! (daje jej znak aby się zbliżyła).

Piotr (na stronie). Nie, nie, wolę stracić ją na zawsze!

Jakób. Matko... słuchajno!

Piotr (cicho do Ludwi.i). Możesz panienko uciec, zamek od strychu odśrubowałem.

Jakób (cicho do Frocharda). Zamknij ją dobrze matko!

Piotr. Klucz od drzwi z dołu jest pod siennikiem.

Jakób. Nie dowierzam jemu.

Frochard. Dobrze, dobrze! (odprowadza Ludwikę na strych).

SCENA TRZECIA.

Ciż oprócz Ludwiki.

Frochard. Jeść dostanie dopiero pojutrze, dwia dni djety, to najlepsze lekarstwo na wszystkie grymasy.

Jakób. Ja mam lepszy środek.

Piotr. Ty!

Frochard. Jakiż to środek?

Jakób. Jak zostanę jej mężem to będzie mi posłuszną.

Frochard. Jej mężem?

Piotr. Tybyś chciał?...

Jakób. Powiedziałem sobie, że ona do żadnego innego należeć nie będzie (patrzy na Piotra). A jak czego chcę, to tak być musi!

Frochard. To prawda, że gdyby śpiewała codziennie, byłyby znaczne dochody, a gdyby została panią Jakóbową, to nie potrzebowalibyśmy się obawiać, że nas będzie wygadywać.

Piotr (drżący). Ale na to, aby ona została twoją żoną, musiałaby sama przystać.

Jakób. I cóż stąd?

Piotr. A jak odmówi?

Jakób. Nie może odmówić.

Piotr. Jakże ją przymusisz?

Jakób (ironicznie). Tak? (do matki). Strasznie głupi ten kupidynek! No, chodź chodź naiwny ślifierzu!

Piotr. Ależ ja mam tutaj robotę!

Jakób. Być może, ale mówiłem ci, że musisz mi naostrzyć kordelas, a zresztą mam powody, aby cię stąd wyprowadzić, no, dalej naprzód!

Piotr. Czy ja nie mam już ani kropli krwi w żyłach. (Wychodzą z Jakóbem).

SCENA CZWARTA.

Frochard (sama z uwielbieniem). A! to mi człowiek! (Wyjmuje flaszkę z wódką z pod siennika). Wyborna to rzecz, ta wódeczka! (pije). Tylko trochę za słaba. Sama myśl, że mój luby chłopczyna ożeni się z tą małą, wzrusza mnie do głębi! i przypomina mi... A! Frochard! mój Anatol drogi (pije). Przecież ten mój drogi chłopiec, musi być choć trochę oczarowany, ślepa! ślepa żona! no prawda, doktór powiedział że ją wyleczy, a ba! ale jak ją pozbawi tego kalectwa, przepadł cały handel! (stukanie). Kto tam być może? (stukanie znowu). Rzecz dziwna, że mnie to zawsze przestrasza! (wtyka butelkę pod siennik). Zaraz! zaraz! (uchyla drzwi).

SCENA PIĄTA.

Frochard i Ludwika.

Frochard. Kogo pani szuka?

Henryka. Pani Frochard.

Frochard. Czego pani od niej potrzebujesz?

Frochard (wyjrzawszy za drzwi). To proszę! (Henryka wchodzi, Frochard patrzy czy nie ma kogo więcej, i zamyka drzwi).

Henryka. Muszę z nią koniecznie mówić!

Frochard. Pani sama?

Henryka. Sama.

Henryka (spogląda wokoło z przerażeniem). Wi c ona tutaj mieszka? (Frochard zbliża się i spoty ają się wzrokiem). Spojrzenia tej kobiety przerażają mnie!

Frochard. Cóż mi pani masz powiedzieć? słucham!

Henryka (na stronie). Jakże mi ,serce bije!

Frochard. Patrzysz pani wokoło jak gdybyś szukała kogo?

Henryka. Rzerzywiście szukam osoby, która tutaj z panią mieszka.

Frochard. Jaka osoba?

Henryka. Młoda dziewczyna..

Frochard (na stronie). Może to jej siostra (głośno). Młoda dziewczyna? Nie ma tu żadnej.

Henryka. A jednak wskazano mi ten dom nad rzeką.

Frochard. Jest więcej domów wzdłuż nad rzeką, szukaj pani gdzieindziej, (na stronie). Wyprowadzę cię stąd jutro.

Henryka. Ale pani nazywasz się Frochard?

Frochard. Tak, Eufemia Frochard.

Henryka. I żebrzesz w towarzystwie młodej ślepej dziewczyny która śpiewa.

Frochard. O nie, pocóż miałabym żebrać, kiedy mam dwóch synów którzy pracują jeden jest szlifierzem, oto jest jego kamień.

Henryka (porywa się). Czy tak? (z wykrzykiem). Ach!

Frochard. Co się stało?

Henryka (chwyta szal z krzesła). Ten szal!... poznaję go!... to jest jej szal!

Frochard (chce odebrać). Wcale nie, to mój własny!

Henryka. A ta chustka na twojej szyi?

Frochard (zmięszana). Co? Co?...

Henryka. Ja sama haftowałam dla niej tę chustkę (zdziera z niej chustkę). Skłamałaś nędznico!

Frochard (na stronie). Źle (głośno). A więc tak, to prawda, ale pani byłaś drżąca, pomieszana, że nie śmiałam powiedzieć prawdy.

Henryka. Więc mów teraz, mów.

Frochard. To młode dziewczę, które pani szukasz znalazłam błąkające się po ulicach.

Henryka. Cóż dalej?

Frochard. Wyżywić jej nie byłam w stanie, więc śpiewała i zarabiała na chleb.

Henryka. Dalej, dalej.

Frochard. Biedne dziecko, nie było stworzone do podobnego życia, zgryzota zabijała ją bardziej, aniżeli praca, a po trzech miesiącach przestała śpiewać, i już biedactwo więcej nie śpiewa.

Henryka (z rozpaczą). Umarła?

Frochard (na stronie). Ja tego nie powiedziałam.

Henryka (chwieje się). Umarła... moja biedna Ludwika... moja siostra... ach! (pada zemdlona).

Frochard. Zemdlała! ja powiedziałam szczerą prawdę, ona wyobraziła sobie resztę... zemdlała... hm... co ja teraz zrobię?... jak nas oskarży i odbiorą tę małą... Ach! czemu tu nie ma mojego Jakóba... gdyby go zawołać?... Ale jak ona wróci do przytomności... niechaj nie zobaczy tamtej. (zamyka drzwi na klucz i wyjmuje). Jedna zamknięta na górze, druga omdlała na dole, nie ma się czego obawiać, a teraz spieszmy po Jakóba. (Wychodzi, po chwili drzwi na strychu poruszają się coraz mocniej, w końcu zamek odpada).

SCENA SZÓSTA.

Henryka, Ludwika.

Ludwika (wchodzi). Nie ma nikogo. Piotr prawdę powiedział, zamek był odśrubowany. Ucieknę i poproszę pierwszego lepszego przechodnia, aby mnie zaprowadził do szpitała świętego Ludwika, do poczciwego doktora.

Ależ gdzie drzwi! (przechodzi koło Henryki ku drzwiom). A są, (chce otworzyć). Zamknięte! ale przypominam sobie, Piotr mówił, że pod siennikiem jest klucz (przychodzi do posłania słomianego, szuka i dobywa klucz). Jest... jest! uciekajmy! (obraca się ku drzwiom i potrąca się o Henrykę, schyla się). Jakaś kobieta na ziemi... ręka zimna... Boże! jakąż zbrodnię tu popełniono (klęka i dotyka głowy i serca Henryki). Nie żyje!... nie nie, serce bije jeszcze! zemdlała zapewne... co uczynić?... Pani! pani! Odezwijże się! Nie słyszy... Nie mogę jej przecież tak opuścić!... (Frochard wchodzi z Jakóbem).

SCENA SIÓDMA.

Ciż, Frochard, Jakób, potem Piotr wchodzi.

Frochard. Obydwie razem!

Jakób (cicho). Trzeba je czemprędzej rozłączyć.

Frochard. Co ty tu robisz? Jakim sposobem wyszłaś ze strychu?

Ludwika (drży). Ja... ja...

Jakób. Spieszmy się, bo ta druga przychodzi do siebie.

Frochard (do Ludwiki). Wracaj na strych zaraz!

Ludwika. Ależ ta kobieta zapewne chora?

Piotr (wchodzi). Kobieta?

Frochard (potrąca ją ku schodom). To do ciebie nie należy, precz! (wyprowadza ją na schody w chwili, gdy Ludwika wstępuje na schody, Henryka spostrzega ją).

Henryka. Ach!

Jakób (zatyka jej usta ręką, ona się szamota).

Ludwika (zatrzymuje się). Ten głos!

Henryka (przytłumionym głosem). Ludwiko! Ludwiko!

Ludwika (odtrąca Frocharda). Henryko! (wbiega spotyka się z Henryką, która się wydarła Jakóbowi i chwyta ją w objęcia). O Henryko moja! to ty! (całują się z zapałem). Siostro moja!

Piotr (z radością). Jej siostra!

Henryka (patrzy na nich). Nędznicy! w jakimże to stanie znajduję moją Ludwikę! Podli nędznicy! Kara was nie minie! Chodźmy!

Jakób (wściekły zastępuje im drogę). Nie wyjdziecie!

Henryka. Chcecie nas zatrzymać?

Piotr (do Frocharda). Zatrzymać przemocą?

Frochard. Trzeba koniecznie, bo ona by nas oskarżyła!

Jakób. Ja was stąd nie wypuszczę!

Henryka. Ja zawołam na pomoc!

Jakób (wściekły). Spróbuj! uprzedzam! że my należymy do rodziny, która umie zabijać (wskazuje Ludwikę). Otóż nikt mi jej

żywy nie odbierze... ona do mnie należy! (chwyta Ludwikę), i zatrzymuję ją.

Ludwika (z wykrzykiem). Ach!

Piotr (rzuca się między Jakóba i Ludwikę, która mu się wyrywa). A! to już nadto podłości! (obydwie siostry trzymają się w objęciach).

Jakób. Ty śmiesz odzywać się?

Piotr. Tak śmiem!

Jakób. Przeciw mnie?

Piotr. Przeciw tobie przed którym drżałem tak długo... O już mnie teraz nie przestraszasz, widząc żeś słuszny i silny, myślałem żeś odważny, i bałem się ciebie, ale tyś mały i nikczemny, bo grozisz kobietom. Jesteś podły, a moja odwaga więcej teraz znaczy od twojej siły!

Ludwika. Dobrze, dobrze Piotrze!

Piotr. Licz panienka na mnie!

Jakób (idzie ku niemu). Dobrze więc! Rozmówmy się pokiako! Czego chcesz?

Piotr (patrzy mu w twarz zimno). Chcę, abyś im pozwolił odejść.

Jakób. Doprawdy?

Piotr. Chcę zapobiedz, abyś nie popełnił zbrodni, którą czytam w twoich oczach.

Frochard. Piotrze!

Jakób (ironicznie). A jeśli ja odmówię, cóż uczynisz?

Piotr. Co uczynię? Powiedziałeś przed chwilą, że należymy do rodziny która umie zabijać... Jeżeli podniesiesz rękę na którąkolwiek z tych kobiet...

Jakób. To cóż?...

Piotr (dobywa noża). Zatopię ten nóż w twoim sercu.

Jakób (dobywa także noża). Ty śmiałbyś?

Piotr. Zna tajemnicę duszy mojej i pyta czy śmiałbym?

Jakób. Pamiętaj że tu chodzi o twoje życie!

Piotr. Albo o twoje!

Frochard. Nędzniku! Wyście przecież dwaj bracia!

Piotr. Tak, dwaj bracia, jak niegdyś synowie Adama, ale tym razem role zmienione, bo Abel zabija Kaina!

Jakób. Zobaczymy! (uderza Piotra nożem w ramię, krew oblewa jego koszulę).

Henryka (z wykrzykiem). Raniony!

Piotr. (silnie). Nie!

Jakób. Masz za swoje poczwaro!

Piotr. Nie nędzniku! rozedrzej mnie na sztuki, lecz jak długo Ludwika jest w niebezpieczeństwie, żadnego bólu nie czuję!

Jakób (rzuca się na niego). Więc skończmy to!

Piotr (uderza go nożem). Skończmy!

Jakób (pada).

Frochard (rzuca się na niego). Jakóbie! mój chłopcze!

Piotr (do sióstr). Uciekajcie teraz! uciekajcie!

Ludwika. A ty Piotrze?

Henryka. Co się z tobą stanie?

Piotr. Czekać będę na wymiar sprawiedliwości! (Henryka i Ludwika idą ku drzwiom).

Zasłona spada.

AKT PIĄTY.

Obraz Ósmy.

(U Hrabiego de Linieres).

SCENA PIERWSZA.

Hrabia, Roger, Służący.

Służący (anonsuje). Kawaler de Vandrey!

Hrabia (do służącego). Zapytaj się o panią hrabinę, czy zechce przyjąć swego siostrzeńca? (służący wychodzi).

Roger (wchodzi). Witam cię panie hrabio! Wchodząc do tego domu, miałem tylko jedno pragnienie, ujrzeć osobę, którą kochałem jak matkę, uścisnąć ją i odejść.

Hrabia. Nie tylko sam pan miałeś to pragnienie, i ona biedna oczekuje pana od trzech dni wśród cierpień okropnych.

Roger. przerażasz mnie pan! cóż się stało?

Hrabia. Od owej chwili, gdym ją zastał u osoby, dla której poświęciłeś pan wszystkie obowiązki swoje i najświętsze uczucia... od owej chwili rozpoczęła się ciężka choroba hrabiny. Wpadła w straszną gorączkę, mówiła rzeczy tak dziwaczne, tak straszne, że

wzbudzała we mnie na przemian litość lub wściekły gniew. Wreszcie zapytuję się, czy w jej przeszłości nie kryje się błąd, który powinienem ukarać, albo nieszczęście zasługujące na litość moją?

Roger. Mówisz pan o ukaraniu, widząc przed sobą umierającą?

Hrabia (wskazując książkę). O! gdybyś był nie wydarł tej kartki!

Roger. Wyrzucałbyś mi dzisiaj postępek szkaradny panie!

Hrabia. Ten ciężar byłby spadł na mnie.

Roger. Jako wspólnik znosić bym musiał połowę wstydu.

Hrabia (widząc wchodzącą hrabinę). Ciszej! hrabina!

SCENA DRUGA.

Ciż i Hrabina.

Hrabina. Roger! (wyciąga do niego ręce, on rzuca się w jej objęcia, ona całuje go w głowę nie mogąc przemówić ze zbytniego wzruszenia).

Roger (prowadzi ją do fotelu). Odwagi!

Hrabina. Wszak żyje!

Hrabia. Djano!

Hrabina (wskazuje Rogera). Dziękuję ci hrabio, żeś mi go powrócił.

Roger. Wycierpiałaś pani wiele.

Hrabina. I ty cierpieć musiałeś.

Roger. Mówmy jedynie o pani.

Hrabina. Nie chcę abyś sądził, żem o tobie zapomniała, albo nie dotrzymała przy-

rzeczenia. (Roger robi poruszenie). O! mogę mówić, hrabia zastał mnie u niej.

Roger. U biednej Henryki, a jej boleść nie wzruszyła cię panie hrabio?

Hrabia (poważnym głosem). Inne cierpienie wzruszyło bardziej mą duszę, i wstrząsnęło umysłem. Tak Djano, widziałem cię w chwili gdym ją kazał aresztować, widziałem cię drżącą, prawie szaloną, chciałaś wybiedz, w oczach twoich były łzy, w głosie twoim przebijało się łkanie, ale te łzy twoje nie płynęły dla aresztowanej, nie za nią prosiłaś mnie, nieprawdaż?

Hrabina. Prawda.

Hrabia. Więc za kimże płakałaś?

Hrabina (prostuje się z szalonym spojrzeniem). Za kim? (Roger chwyta ją za rękę, ona obraca powoli ku niemu głowę i po chwili mówi głuchym głosem). O mój biedny Roger, jakżebym pragnęła umrzeć!

Hrabia (rzuca się do niej boleśnie). Djano, przebacz mi że cię wypytywałem. Czyż nie jesteś wyższą nad wszelkie podejrzenia? (hrabina patrzy na Rogera i potrząsa smutnie głową).

Służący (anonsuje). Pan doktór.

Hrabina. A! niech wejdzie, niech wejdzie czym prędzej.

SCENA TRZECIA.

Ciż i doktór (wchodzą).

Doktór (łagodnie). Jakto? pani hrabina wstała bez mojego pozwolenia?

Hrabina. Mniejsza o to doktorze.

Doktór. Wcale nie mniejsza, bo zabroniłem wstawać, dopóki nie ustąpi ta uporczywa gorączka! No... jakże? (bierze ją za rękę i potrząsa smutnie głową, patrząc na hrabiego). Gorączka trwa ciągle, a nawet silniejsza.

Hrabina. Doktorze, zdaje mi się, że świeże powietrze wzmocniłoby mnie.

Doktór (zdziwiony). Świeże powietrze?

Hrabina. Tak chciałabym wyjść.

Doktór. Wyjść?

Hrabina. Chciałabym znowu odwiedzić moich biednych, których nędza i głód zmusza do żebrania, chciałabym ich widzieć wszystkich, wszystkich!

Doktór. Pani hrabina nie jesteś w takim stanie, abyś wyjść mogła; wszak możesz tym nieszczęśliwym posłać wsparcie.

Hrabina. Nie, nie! ja chcę ich widzieć, mówisz mi zawsze doktorze, że wiele cierpień sprawiają mi łzy tłumione, otóż zdaje mi się, że widok tych nieszczęśliwych doprowadziłby mnie do łez.

Doktór. O to nie trudno. Mam bardzo nieszczęśliwych, których mogę pani wskazać. Przed trzema dniami naprzykład w więzieniu poprawczym...

Hrabia (o więzieniu słysząc zrywa się). W więzieniu? (Roger zbliża się, Hrabia słucha uważnie).

Doktór. Kilkanaście kobiet wysyłano za granicę, pomiędzy tymi nieszczęśliwymi wy-

gnankami, była jedna godna litości, miała siostrę młodą, której było jedyną podporą, dziecko prawie sierota, bez opieki, żebrać musi śpiewając po ulicach...

Hrabina. O mój Boże!

Roger (ze wzruszeniem). O kim on mówi?

Doktór. A nieszczęście to jest tym większe, że to biedne dziecię jest ślepe.

Hrabia (wstaje). Ślepe?

Doktór. A podli nikczemnicy nie wachali się wyzyskać jej kalectwa, uciekła od nich, i skryła się u mnie.

Hrabia (energicznie). A pan jej nie odtrąciłeś? .

Doktór. Czyż wypędza się ptaszka, który podczas mrozu wleci przez okno? Bierze się go do ręki, ogrzewa, powraca do życia, a potym szuka się dlań schronienia, dla tego właśnie przyszedłem tutaj. Panie hrabio, pomimo woli przyczyniłeś się do tego nieszczęścia, więc zechciej je teraz osłodzić.

Hrabia. Ja?

Doktór. Uczynisz to panie hrabio, a pani hrabina dopomoże ci w tym, bo widzę, że jest wzruszoną. Cóżby się więc stało, gdyby się rzuciła błagająca do jej stóp? Pozwolisz panie hrabio nieprawdaż?

Hrabia. Dobrze, pozwalam, przyprowadź ją doktorze, kiedy zechcesz?

Doktór. Kiedy zechcę? A więc zaraz?

Wszyscy Jakto?

Doktór. Na każdy wypadek przyprowadziłem ją z sobą.

Hrabina (z uniesieniem). Ona tutaj?... w domu mojego męża?

Doktór (otwiera drzwi w głębi). Pójdź moje dziecię, pójdź! (znika na chwilę).

Roger (cicho do Hrabiny). To siostra Henryki.

Hrabina (cicho do Rogera opierając się o niego). Roger, to moja córka!

Roger (cicho). Córka pani?

SCENA CZWARTA.

Ciż i Ludwika.

Doktór (wprowadza Ludwikę). Odwagi moje dziecię, ty jedna możesz teraz wyprosić u pana hrabiego ułaskawienie swej siostry.

Ludwika (zatrzymuje się). Drżę cała, nie śmiem postąpić kroku!...

Doktór. Pani hrabina, raczy ośmielić to dziecie kilkoma słowy.

Hrabina. Ja mam... ależ... ja?...

Doktór. Czyż jej nieszczęście nie wzrusza pani o tyle, co widok innych twoich ubogich?

Hrabina (na którą Roger patrzy ciągle z niepokojem). Jej nieszczęście... o tak, ona porusza mnie do głębi serca!

Doktór. Więc przemów pani do niej.

Hrabina (bardzo wzruszona). Nabierz odwagi moje dziecię, nabierz odwagi!

Ludwika A! (na stronie). Poznaję ten głos!

Hrabina. Jesteś między osobami, które pragną widzieć cię szczęśliwą.

Ludwika. O pani... ja panią spotkałam... okazałaś się litościwą dla mnie...

Hrabina (cicho do Rogera). Poznała mnie, poznała...

Ludwika. Pewnego dnia, wychodząc z kościoła, dałaś mi pani pieniądz złoty, mówiąc: Módl się za mnie, a teraz znajduję panią tutaj... ktoż pani jesteś?...

Hrabina. Jestem hrabina de Linieres.

Ludwika. O pani! racz więc raz jeszcze wyciągnąć rękę pomocy! (wyciąga do niej rękę). Zaprowadź mnie do pana hrabiego, abym mogła błagać go o litość dla Henryki! (Hrabina bierze rękę Ludwiki, zatrzymuje się chwilę, chwiejąc się, potym prostując się prowadzi ją do hrabiego).

Hrabina. Na kolana moje dziecię, na kolana!

Ludwika (klęka). Litości panie hrabio, litości!

Hrabina (pada na kolana). Litości!

Ludwika. Moja siostra jest niewinną, uwolnij ją panie hrabio, a błogosławić ci będziemy jak naszemu zbawcy!

Hrabia (podpisując papier). Uwolnić twoją siostrę?

Roger. Co on uczyni? (Pauza).

Hrabia. Oto masz doktorze rozkaz uwolnienia, wpisz sam nazwisko twojej protegowanej.

Doktór. Dzięki! (bierze papier. Roger podnosi hrabinę).

Ludwika. O panie hrabio, pozwól ucałować swoje ręce!

Hrabia. Rozkaz ten wyślę tego jeszcze wieczora.

Doktór. Nie ma potrzeby panie hrabio! Byłem tak śmiały, żem przyprowadził i drugą, (idzie do drzwi w głębi i daje znak Henryce żeby weszła).

SCENA PIĄTA.

Ciż i Henryka.

Henryka. Powiedziałeś mi doktorze, że gdy mnie przywołasz, to będziesz miał w ręku moje uwolnienie.

Ludwika. Henryko, podziękuj twoim dobroczyńcom!

Henryka (spostrzega Rogera). Boże!

Hrabia (silnie). Co widzę, to ta kobieta!

Roger (idzie naprzeciw Henryki). Którą kocham, i do śmierci kochać będę panie hrabio! przysięgam!

Hrabia. A ja przysięgam!...

Henryka. Wstrzymaj się panie hrabio, i racz mnie wysłuchać, (obraca się do Rogera). Panie Roger... jest teraz między nami przepaść nieprzebyta... zapomnij o mnie... bo teraz jedynym moim obowiązkiem jest żyć dla niej, dla niej jednej. Dziękuję ci panie hrabio za powrócenie mi tej połowy życia mojego, za to dobrodziejstwo poświęcam

ci drugą połowę. Rozkazy twoje panie hrabio, będą szanowane. Ludwika i ja oddalimy się!

Hrabina. Co?...

Henryka. Nie ujrzycie nas więcej, znikniemy z waszych oczu na zawsze.

Roger. Henryko!

Hrabina (z boleścią). Na zawsze! powiedziała na zawsze!

Hrabia. Dobrze! Za tę cenę nie cofnę rozkazu uwolnienia, możecie się oddalić!

Ludwika i Henryka. Idziemy.

Hrabina (z rozpaczą). Nie, nie!... stójcie!... ja nie chcę!... ja nie chcę!... (przykładając rękę do piersi). Ach!... dusi mnie... umieram! umieram... (pada zemdlona).

Hrabia (rzuca się ku niej). Boże!

Roger (tak samo). O nieba!

Doktór (odtrąca ich, przystępuje do hrabiny i woła za dziewczętami). Stójcie! (bada hrabinę, kładzie rękę na jej sercu).

Hrabia (niespokojny). I cóż doktorze?

Doktór (cicho). Dotknęło ją, jak gdyby piorun, i nie wiem jeszcze co mam powiedzieć.

Hrabia. Czego się mamy obawiać?

Doktór. Wszystkiego, jeżeli to dłużej potrwa, jeżeli ta boleść tajemna która ją pożera... nie ustanie nareszcie! (wraca do hrabiny).

Hrabia (chwyta Rogera za rękę). To pan przyspieszyłeś jej śmierć!

Roger. Ja?...

Hrabia. Ukryłeś przedemną tajemnicę, która ją pożera.

Roger (drżący sięga ręką w zanadrze, dobywa papier, rozwija powolnie i zbliża się przed oczy hrabiego). Oto jest kartka, którą wydarłem, czytaj ją panie hrabio!

Hrabia A! (czyta).

Roger. Czytaj, ale pomnij na przeszłość, pomnij na jej prośby i łzy w dzień waszych zaślubiń.

Hrabia (z gniewem, głucho). Zniesławiony! zdradzony przez nią?

Roger. Nie przez nią, ale przez tych, którzy uczynili od jej milczenia zależnym życie lub śmierć jej dziecięcia!

Hrabia (z goryczą). Jej dziecięcia!

Roger. Z którym była rozłączona przez lat szesnaście, a które powraca jej sam Bóg! (wskazuje Ludwikę).

Hrabia. Ta dziewczyna... żebraczka! Ach! (pada na fotel, zakrywa twarz rękami, w tej chwili hrabina, która odzyskała przytomność, podnosi się powoli, do połowy, ogląda się wokoło i spostrzega dziewczęta stojące przy drzwiach).

Hrabina (z radością). A! (obraca oczy ku mężowi). Panie hrabio! (hrabia patrzy na nią). Więc pozwoliłeś, aby się zaraz nie oddaliły!

Hrabia (energicznie). Ja?

Roger (cicho). To wyrokiem dla niej, co pan teraz powiesz.

Hrabia. Pozwoliłem!

Hrabina. Ach!

Hrabia. Przekonałem się, że dłuższe rozłączenie... (wskazuje Rogera) stałoby się powodem wiecznego cierpienia.

Hrabina (cicho). O tak... tak!...

Hrabia. Znam Djano twoje przywiązanie do syna twej siostry, a widząc cię w rozpaczy w powodu jego nieszczęścia, wymogłem na mojej duszy na słusznej dumie naszego domu, wielkie poświęcenie... te dziewczęta nie odejdą...

Hrabina (z radością). Nie odejdą?

Henryka. Panie!

Hrabia. Zezwalam panno Henryko na twój związek z panem Roger, moim siostrzeńcem.

Henryka (idzie ku niemu). O panie!

Roger. Panie hrabio! (ściska go za ręce).

Hrabia. Ależ ta biedna druga sierota zostanie znowu bez opieki... (bierze Ludwikę za rękę). Jeżeli pozwolisz hrabino i chcesz tego... (z wysileniem), to uznamy ją za naszą córkę

Hrabina (z radością). Ach!

Ludwika. Ja waszą córką?

Hrabina (klęka i całuje w rękę hrabiego, z płaczem cicho). O panie, ty wiesz wszystko!

Hrabia (rozdziera papier). I chcę o wszystkim zapomnieć, (do hrabiny). Uściśnij ją pani!

Hrabina (całuje Ludwikę z płaczem)

Hrabia. I nazwij córką.

Hrabina. Moja!... moja!... (z łkaniem). O moja córko.

Ludwika. O pani! gdybym cię widzieć mogła!

Doktór. Zobaczysz, to do mnie należy.

Hrabina. Jakto doktorze, masz nadzieję?

Doktór. Ja otoczę ją moim staraniem, wysilę moją wiedzę, a Bóg wzrok jej powróci!

Zasłona spada.

KONIEC.